

Mieczysław Gogacz

Filozoficzne rozważania o rozpacz i nadziei

Studia Philosophiae Christianae 19/2, 151-182

1983

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MIECZYŚLAW GOGACZ

FILOZOFICZNE ROZWAŻANIA O ROZPACZY I NADZIEI

I. Proces rozpacz

Rozpacz jest procesem psychicznym, w którym można wyróżnić trzy etapy: poczucie zagrożenia, utratę celu życia, wygasanie motywów samoobrony.

Ze względu na cel lub skutek, do którego proces ten prowadzi, można nazwać go rozpadem życia emocjonalnego. Dzieje się on bowiem w obrębie emocji człowieka, a ma źródło w rozbiciu związku między życiem intelektualnym i emocjonalnym człowieka. Tego rozbicia musiało dokonać przeżycie, którego człowiek nie może zrozumieć i zdystansować, które więc stało się jedyną treścią, wpływającą na emocje. Przeżycie to jednak musi być doznaniem jakiejś życiowej katastrofy, utratą podstawowego uzasadnienia działań. W wyniku tego, wpływ na emocje polega na powodowaniu ich wygasania, gdyż treść, wpływająca na emocje, jest poczuciem utraty czegoś najwartościowszego. Ta pustka musi owocować rozproszeniem, wprost rozpadem uczuć. Kresem tego rozpadu jest emocjonalna, z kolei duchowa, a często także fizyczna śmierć człowieka.

Z tych wszystkich powodów, analiza struktury rozpacz, zrozumienie tego przeżycia i uczucia staje się nawet swoistym zadaniem. Może bowiem nawet w rozpacz, w tym dość jednolitym procesie wewnętrznej zagłady, są jakieś słabe punkty, pozwalające ingerować w ten proces dobrem, scalającym rozpraszające się emocje. Może jest nawet w rozpacz jakieś wyjście w kierunku nadziei.

1. Poczucie zagrożenia

Rozpacz ma swoje źródło już w dość często przeżywanym przez ludzi poczuciu zagrożenia. To poczucie może nie doprowadzić do drugiego etapu rozpacz, do utraty celu życia. Może wygasnąć. Może nie doprowadzić do rozpacz. Gdy nie zostanie przezwyciężone, gdy po prostu nie usunie się wywołujących je czynników zewnętrznych lub wewnętrznych, nastąpi nieubłagane rozpad życia emocjonalnego, wyniszczenie duchowe, a nawet fizyczne.

Poczucie zagrożenia przejawia się w psychice w kilku kolejnych postaciach: lęk, zawstydzenie, ból, smutek. Człowiek broni się przed tymi przeżyciami. Lęk, przybierający najczęściej postać zazdrości, mobilizuje do działania, do ratowania tego, co tracimy. Brak efektów w tym działaniu wywołuje zawstydzenie, które wyznacza potrzebę ucieczki. Ucieczka nie polepsza sytuacji, raczej wnosi dotkliwy ból. Ogarnia nas bezradność, a z kolei smutek, zwykła droga do utraty celu życia.

W podziałach uczuć, stosowanych w psychologii, rozpacz przeciwstawia się nadziei. To prawda, rozpacz jest proporcjonalna do wyga-

sania nadziei. Nie jest jednak wynikiem utraty nadziei. Jest wynikiem utraty miłości.

Z kolei miłość, w podziałach uczuć, stosowanych w psychologii, przeciwstawia się nienawiści. Owszem, odwrotnością miłości jest nienawiść, jednak nie w tym znaczeniu, że utrata miłości wywołuje w człowieku nienawiść. Nie. Na miejsce miłości nie wchodzi nienawiść. Na jej miejsce wchodzi rozpacz. Utrata nadziei nie ma mocy wywołania rozpacz. Tę rozpacz wywołuje utracona miłość.

Stopień utraty nadziei jest stopniem narastania rozpacz, ale powodem narastania rozpacz i wygasania nadziei jest utrata miłości.

Trzeba też wyjaśnić, że nie jest to dosłownie utrata miłości. To jest utrata tego, co kochaliśmy. Miłość jako powiązanie z tym, co kochamy, trwa nadal. Nie może więc pojawić się w nas nienawiść. Nie ma tylko tego, co kochamy. Jest pustka. Miłość traci swe odniesienie, oparcie. Wywołuje lęk, zawstydzenie, ból, smutek. Ze smutku nie ma przejścia do nienawiści. Nienawiść jest działaniem, ślepa niszczącą walką. Jest znakiem, że nie było miłości. Miłość nie walczy, gdyż zawsze jest darem, mającym źródło w wolności. Nie przyjęcie przez kogoś, cofnięcie daru raczej wywołuje lęk, zatrwożenie, poczucie zagrożenia miłości, z kolei zawstydzenie, ból, smutek. Ze smutku droga prowadzi do rozpacz, nie do nienawiści. Ci, którzy kochają, nie są zdolni do nienawiści. Ci, którzy kochają, i utracili to, co kochają, mają dwa wyjścia: rozpacz lub nie poddanie się rozpacz.

Jeżeli w procesie narastania rozpacz poczucie zagrożenia przekształca się w poczucie utraty celu życia, to ratunkiem jest zmiana celu życia. Jeżeli celem życia było to, co kochaliśmy, to ratunkiem jest ukochanie czegoś innego. Miłość trwa, nie ma tylko tego, co kochaliśmy. Należy wypełnić tę pustkę nowym przedmiotem miłości. Teoretycznie jest to oczywiste i proste. Któż jednak potrafi to zrobić! Kto lub co zastąpi matce utracone dziecko! Głęboka, prawdziwa miłość jest przystosowaniem nas całych, całego naszego życia duchowego, do odbierania ukochanego dobra, którego teraz nie ma. Aby móc pokochać coś innego po stracie tego, co kochaliśmy, trzeba by przebudować siebie, nastawić na nowy cel. Jest to w każdym razie długi i trudny proces. Często nie jest możliwy do przeprowadzenia. I wtedy, gdy już nie jest możliwy, nasze życie jest rozpaczą. Staje się rozpaczą, gdy w samotności zagrożenia, nie broniąc się lub nie mogąc się bronić, przejdziemy poprzez smutek do dalszych etapów narastania rozpacz.

Obok tak trudnej zmiany celu życia ratunkiem także są same etapy procesu rozpacz. Gdy odkryjemy poczucie zagrożenia, to starajmy się nie dopuścić do zagubienia celu życia. Może tym celem niech stanie się zgoda na oddalenie się tego, co kochamy. Niech trwa miłość bez perspektyw, bez nadziei, bez oparcia. Sama miłość. Samotna miłość. Destrzec cel w samotności. Któż jednak potrafi to przetrwać! Może potrafią to święci. Może więc każda miłość wymaga heroizmu, stałej agonii celów, właśnie świętości, rezygnacji z siebie. Świętość jednak nie polega na samotności, na braku celów. Jest wynikiem stałej obecności w nas Boga. Może więc rozpacz pojawia się wtedy, gdy tracąc ludzi nie kochamy Boga. Gdy utracimy to, co kochamy, nasza miłość może trwać dalej oparta na Bogu. Nic nie zastąpi umarłych dzieci, ale jest ratunek przed rozpaczą.

1) Lęk

Poczucie zagrożenia pojawia się w psychice najpierw w postaci lęku. Któż z nas jednak odczytuje w zaniepokojeniu, w jakichś niejasnych obawach, już początek groźnego procesu rozpaczki! Bierze się wtedy jakieś krople na serce, stosuje się sen i to zaniepokojenie podobno mija. Różne nasze obawy przypisuje się ponadto rozbudzonej wyobraźni, której radzi się nam nie traktować poważnie. I rzeczywiście, często mija zaniepokojenie, mijają obawy. Ich śladem jest niekiedy postawa lęku. Wychowawcy przystępują wtedy do akcji: uczą odwagi. Miesza się bowiem lęk z tchórzostwem. Owszem, należy wyciągać ludzi z postawy tchórzostwa, które polega na ucieczce przed każdą trudnością, przed koniecznością jasnego określenia swego zdania, zmanifestowania wyboru prawdy nawet w mało ważnych sytuacjach. Ludzie tchórzliwi po prostu nie określają i nie bronią prawdy. Należy uczyć odwagi opowiadania się po stronie prawdy. Nie wolno jednak nie odróżnić tchórzostwa od lęku.

Zaniepokojenie i obawy nie zawsze są elementami lęku. Są często przejawem nerwowości. Są jednak niekiedy obawami lęku. Sam jednak lęk, ten groźny przejaw początku procesu rozpaczki, usłudni egzystencjaliści, wciąż kokietujący człowieka uzasadnianiem jego prawa do postaw łatwych, z kolei ukazali w perspektywach złudzenia. Lękamy się, lecz lęk nie jest niczym wywołany. Jest tylko sytuacją, w której odczytujemy naszą ludzką kondycję. Egzystencjalizm, w którym uważa się człowieka za układ przeżyć, ukazuje lęk jako coś korzystnego: w przeżyciu lęku dowiadujemy się tylko, że musimy umrzeć. To jest nasz los, którego nie można zmienić. Nie należy więc bać się lęku i nie należy bać się śmierci. Owszem, nie należy bać się lęku i śmierci. Dodajmy jednak, że nie należy jednak ani ich szukać, ani lekceważyć.

Lęk nie jest zaniepokojeniem, obawą, tchórzostwem. Nie jest jednak także drogą do rozpoznania tego, kim jesteśmy, co głoszą egzystencjaliści. Nie jesteśmy bowiem bytowaniem dla śmierci. Raczej jesteśmy życiem i dla życia.

Niełatwo odróżnić lęk od zaniepokojenia i obaw, gdyż niełatwo ustalić jego bytową strukturę. Jest relacją. Jako relacja, wymaga rozpoznania jej podmiotu i kresu. Podmiotem relacji, która jest lękiem, jest człowiek, gdyż człowiek przeżywa lęk. Tak się sądzi. I może lekceważenie lęku ma źródło w tej błędnej identyfikacji jego podmiotu. Człowiek jest raczej kresem relacji lęku. Jej podmiotem jest to wydarzenie, które lęk wywołuje. Czy jednak jest to faktyczne wydarzenie, jakieś byty, ludzie, układy otaczających nas relacji? A może właśnie nastrój, może sytuacja nerwowa jest autorem lęku? Jak to rozpoznać?

Łatwiej widać lęk w jego przejawach. Przejawami lęku są przypuszczenia, podejrzenia, zazdrość. Te jednak przejawy są na indeksie charakterologicznym. Przypuszczenia jeszcze tolerujemy. Podejrzenia i podejrzliwość już uważamy za wadę, a zazdrość negujemy całkowicie. I słusznie. Człowiek, który wciąż odbierałby ludzi i sytuacje w atmosferze przypuszczenia, że coś dzieje się na jego niekorzyść, nigdy nie wychowałby w sobie ufności, wierności, życzliwości. Gdyby wszystkich podejrzewał o złe zamiary, skazałby się na izolację. A kierując się zazdrością, nie mógłby przeżyć przyjaźni, tych więc powiązań, które są szczęściem. Nie bronię takich przeżyć, jak podejrzenie, zazdrość,

przypuszczenie, że grozi nam izolacja, utrata przyjaźni. Nie można żyć wciąż myśląc, że utracę to, czym się cieszę. Ale detektywom w książkach i filmach kryminalnych wolno snuć przypuszczenia i wolno im podejrzewać. Wprawdzie czynią to, gdy już jakieś zło się stało. To jest ich sposób poszukiwania winnych. Kiedy nam wolno posłużyć się przypuszczeniem, podejrzeniem, że zaczął się w nas proces rozpacz? Czy dopiero wtedy, gdy nie ma odwrotu?

Wyraźnie rozpoznajemy lęk w przeżywaniu zazdrości. I znowu zazdrość może mieć źródło w zagrożeniu tylko wyobrażonym, albo w postawie podporządkowywania sobie kogoś bez reszty. Obie wersje zazdrości, a raczej jej motywów, są dla nas niekorzystne, dla kogoś wręcz niesprawiedliwe. Zazdrość, która ma źródło w wymyślonych lub wyobrażonych powodach, niszczy nas i to, o co walczymy: niszczy zaufanie, pokój, przyjaźń, wywołuje nieufność, atakuje życzliwe powiązania. Zazdrość, która z kolei ma źródło w postawie całkowitego podporządkowywania sobie ludzi, rzeczy, relacji, spraw, dzieł, wyznacza niewolę: odcięcie kogoś od dzieł, spraw, relacji, rzeczy, ludzi, z którymi ktoś podporządkowywany był dotychczas związany. To oddzielenie go od tego, czym żył, budzi nieufność, a przede wszystkim pozbawia wolności. Tego właśnie, tego pozbawienia wolności nikt nie jest w stanie przetrwać. Musi zrodzić się opór, potrzeba odejścia, która potęguje zazdrość i wzmaga walkę.

Zazdrość przejawia się głównie w walce lub tylko w działaniu, zabezpieczającym to, co posiadamy. Gdy jest to walka, która zabezpiecza wyłączne powiązanie ze mną, gdy jest to więc walka o wprowadzenie kogoś lub czegoś w niewolę, musi się ją przegrać. Wyłączność jest bowiem także darem, którego motywem i źródłem jest wolność. I ochrona wyłączności polega na ochronie wolności, a nie na przymuszaniu do jedyności relacji. Marzenie o tej jedyności jest marzeniem o szczęściu. I walka o wyłączność jest walką o szczęście. Z tego względu ludzie ją podejmują. A pragnąc szczęścia z ogromną siłą, także z ogromną siłą angażują się w walkę o jedynność relacji. Błędem jednak od początku jest wymyślenie, wyobrażone przypuszczenie, że tę jedynność lub wyłączność utracimy i błędem jest zabezpieczanie tego przez pełne podporządkowywanie sobie kogoś lub czegoś.

Zazdrość wskazuje, że nie umiemy przeżywać swojej i czyjejs wolności. Wolność nie polega na tym, że wolno nam kogoś lub coś całkowicie sobie podporządkować. W takim postępowaniu się wolnością jest utajone przekonanie o naszej absolutności, o pełnej wartości, o prawie do posiadania wszystkiego na własność. Jest to przekonanie osób, które nie uzgodniły swych działań z pierwszym i siódmym przykazaniem. Wolność nie polega także na tym, że mogą nieustannie dokonywać wyborów i włączać w swój świat, wiązać relacjami tylko z sobą, wszystko, co spotkam. Jest to bowiem działanie tak samo oparte na utajonym przekonaniu o swej absolutności, kolidujące z pierwszym i siódmym przykazaniem. W związku z tym, wolność nie może też polegać na przekonaniu o naszej całkowitej niezależności od czegokolwiek. Takie przekonanie podobnie jest w kolizji z wymienionymi przykazaniami, a przede wszystkim jest błędem. Jesteśmy właśnie zależni choćby od czyjejs wolności, od czyjejs decyzji obdarowania nas jakąś relacją, np. relacją miłości. Dobrze pojmowana i przeżywana wolność polega na coraz pełniejszym uzyskiwaniu mądrości i dobra, na rozumieniu więc siebie, ludzi, kultury i dzięki temu na trafnym

obdarowywaniu ich dobrem, co ze strony ludzi wywołuje relacje zaufania, przyjaźni, wierności, miłości, z kolei sytuację szczęścia.

Zazdrość wskazuje też na niecierpliwość, która polega na przyspieszaniu procesów zaprzyjaźnienia, recepcji dobra. W takim przyspieszeniu tej recepcji właśnie często proces się zrywa, dobro nie może napływać. Musi ono przecież dojrzeć, stać się nowym darem, gdyż raz już zostało dane w jakims akcie decyzji. Obdarowywanie jest procesem ciągłym, lecz na sposób sumy decyzji. Niecierpliwość jest domaganiem się ciągłości tego procesu. Jest znakiem, że nie rozumiemy, kim jest człowiek, jak działa, czym i jak może nas obdarować.

Gdy jednak doświadczymy tych uszczęśliwiających darów, nagle je tracimy, gdy ktoś wstrzymał ich udzielanie, gdy oddała się od nas, wpadamy w popłoch, w panikę. Zaczynamy coś robić, zaczynamy działać, walczyć, lecz właśnie w popłochu, w panice. Sposoby ratowania zrywających się relacji są przypadkowe, pogłębiające kryzys, oddalenie i utratę.

Może właśnie ten przeżywany przez nas wewnętrzny popłoch, ta swoista w nas panika, są właściwymi znakami lęku, który przybierając postać zazdrości jest źródłem nietrafnych sposobów ratowania tego, co tracimy. Także przecież zazdrość rozpoznajemy po działaniach, które tym się charakteryzują, że właśnie są nietrafne, że oddalają zamiast zbliżać, że zniechęcają zamiast budzić zaufanie, że rozdzielają zamiast łączyć. Zazdrość więc jest złym sposobem ratowania tego, co tracimy.

Zazdrość jest wobec tego już ujawnieniem lęku. Jest przyznaniem się do przegranej i organizowaniem wrażenia, że nic się nie stało, że mam jeszcze prawo do manifestowania dotychczasowych powiązań. Łudzę się, że trwają wszystkie relacje, bezradnie i bezmyślnie manifestując ich obronę. Ujawniam, że je chronię, i zarazem ujawniam, że już ich nie ma.

Gdy przedmiotem zazdrości jest człowiek, który odchodzi, najczęściej ujawniamy swą siłę, pozorną przebiegłość, swoje wartości. Atakujemy to, co zagraża relacjom, izolujemy osobę kochaną właśnie atakując jej wolność, w której przecież ma początek ten wyteśniony dar ginącej miłości. Powinniśmy wtedy chronić i wzmacniać wolność tej osoby, aby korzystając z wolności umiała i może zechciała nie poddać się sile nowych relacji. Powinniśmy chronić i wzmacniać marzenie, które w nowych relacjach widzi szansę dobra, może za mało, za rzadko udzielanego z naszej strony. A może powinniśmy tylko być już nie działając, już tylko rozumiejąc, że nie można wtargnąć w obszar czyjejś wolności.

Gdy przedmiotem zazdrości jest człowiek, który nas jeszcze nie kocha, z którym wiąże nas za mało relacji, może to wtedy, może tylko wtedy należy podjąć walkę, ukazywać swą siłę, swoje wartości, szansę powiązań i gotowość słuzeniu dobrem, rozumieniami i miłością. Może zazdrość jest przeżyciem słusznym w tej sytuacji, a nie wtedy, gdy coś tracimy. Może naturą utraty jest bezpowrotność dobra, o którym marzymy. Może po prostu powinniśmy umieć nie związać nigdy popłochu i paniki z zazdrością. Może nie umiemy właśnie posłużyć się zazdrością.

Poczucie zagrożenia, poczucie więc, że tracimy to, co kochamy: coś, co odchodzi lub coś, czego jeszcze nie mamy, to poczucie ma postać lęku. Świadczy o nim doświadczany przez nas nasz wewnętrzny popłoch, niekiedy swoista w nas panika. I może szkoda, że pozwalamy,

aby wszystkie te przeżycia przybrały postać zazdrości. Zazdrość bowiem najczęściej wszystko niszczy.

2) Zawstydzenie

Dość długo trwa w nas proces uświadomienia sobie, że podstawowe, wiążące nas z kimś relacje, zostały zerwane. Dopóki nie dopuszczamy do wyraźnych uświadomień sobie tej sytuacji, trwa walka w atmosferze lub może tylko w konwencji zazdrości. Gdy zobaczymy, że niczego nie da się naprawić, podejmujemy inny zespół działań: kryjąc zawstydzenie uciekamy od tego, co było.

Ucieczka jest zawsze uwalnianiem się od zawstydzenia. Dopada nas najpierw zawstydzenie, że właśnie nie jesteśmy silni, że nasze wartości nie są jedyne i atrakcyjne, że nie umieliśmy nawiązać z kimś relacji, uzyskać daru nam udzielanego dobra w swoistej jedności, w nobilitującej nas wyjątkowości. Zawstydza nas nietrafność stosowanych sposobów utrwalania relacji, próba podporządkowywania sobie czyjejs wolności, wysiłek oddziaływania na tę wolność, nasze wszystkie nieudane działania, decydowane w popłochu i panice. Zawstydza nas sam ten popłoch i panika, przeżycie podejrzeń, zazdrości, tych uczuć, które kogoś przecież atakują. Zawstydza nas ten swoisty atak, którego celem była obrona naszego szczęścia. Wstydzimy się, że broniliśmy siebie, że wygrywała w nas potrzeba wysunięcia siebie na pierwsze miejsce, naiwna potrzeba chwalenia się sobą, wątpliwy zabieg fascynowania swymi zaletami. Te działania nie doprowadziły do celu, a tylko okazały się pominięciem kogoś, jego zalet, jego pozycji i wartości. Wstydzimy się, że byliśmy zdolni do wycofania się z postawy służenia innym. Wstydzimy się, że pragnęliśmy szczęścia i wstydzimy się, że nie jesteśmy szczęśliwi, że wszyscy to wiedzą, że przede wszystkim wie o tym ktoś, komu ten argument zgłaszaliśmy tłumacząc się z przeżycia zazdrości i stosowania wyznaczonych nią działań. Zawstydza nas wreszcie nasza samotność, oddzielenie od tego, co kochamy, otaczająca nas pustka, gdyż tak przeżywamy brak relacji z tym, do czego tak gwałtownie tęskniliśmy. Zawstydza nas ta tęsknota, tak przecież bezsilna, nie podjęta, odrzucona. Zawstydza nas też to odrzucenie.

Odrzucenie, samotność, osobność, wprost niespodziewana izolacja, nie wprowadzają spokoju, ciszy, nie dają odpoczynku. Wzmagają popłoch i panikę. Wraca z większą siłą zaniepokojenie i wracają obawy, że nie zostaniemy wyróżnieni miłością, że więc grozi nam nieustanna przegrana, właśnie pustka. W tej pustce nikt przecież nie usłyszy naszych wołań o pomoc, gdy zaatakuje nas choroba, nieszczęście, czy wprost znany nam już lęk. Ten lęk już minął, a raczej przyjął postać przeżalenia.

Zawstydzenie jest po lęku kolejnym przejawem poczucia zagrożenia, lecz nie jest czymś drugim, innym. Jest nasileniem zaniepokojenia, obaw, podejrzeń, lęku, zazdrości. Jest głębszym przeżyciem wszystkiego, co było, atakiem skierowanym na nas. Dotychczas, w etapie lęku, podejmowaliśmy działania kierowane do kogoś, aby go zafascynować, zatrzymać, związać ze sobą, odzyskać, zdobyć. Teraz, po przegranej, działania te nas atakują. Przeżywamy wszystko kierując to do siebie. Przeciw nam obraca się to, co robiliśmy. Wnika w nas jako wyrzut, wwierca się coraz głębiej, nasila, kieruje do środka nas samych potęgując izolację, osobność i samotność. Tylko bowiem kierunek na zewnątrz nas uwalnia od napięć, niepokojów, przerażenia. Kierunek do środka nas samych zamyka nas, dosłownie izoluje, wypemnia, niszczy

i nie zabija. Zabija rozproszenie, rozpad. Gromadzenie nie zabija. Niszczy inaczej: dekomponuje, przeobraża, odmienia, tworzy chaos.

Zawstydzenie musi więc doprowadzić do ucieczki. Jest to ucieczka najpierw przed sobą.

Człowiek musi zmienić kierunek atakujących go przeżyć. Musi je z siebie wyrzucić, usunąć. Musi uciec z warunków izolacji, osobności, w nowe warunki, w inne relacje, aby przez nie utracić to, co boli. Nie można tego utracić, usunąć. Narasta ból, utrwała się, staje się nowym przejawem poczucia zagrożenia. Człowiek nie wie jeszcze, że pozostanie w nim to, co boli, jeszcze ucieka.

Człowiek ucieka zarazem przed innymi. Przenosząc się w nowe warunki, w nowe układy relacji, tworzy pozory, że wszystko jest dobrze, że nie jest mu potrzebna miłość kogoś, kto odszedł. Ucieka, aby świadkowie jego przeżyć i jego przegranej zobaczyli go w nowych relacjach, aby więc już zamknęli jego sprawę. Człowiek więc uciekając w swym zawstydzeniu przed innymi, ucieka znowu w samotność, osobność, izolację, pustkę, gdyż nowe relacje nie powstają przez samo pojawienie się wśród ludzi. Bywamy samotni w tłumach osób.

Człowiek ucieka wreszcie przed sobą i przed innymi ludźmi, aby nawiązać nowe kontakty, potrzebne mu do życia relacje, uwalniające go od męki tego, co w nim się dzieje, i wnoszące to wszystko, czym trzeba żyć, aby być człowiekiem. Człowiek szuka osób, aby otrzymać z ich wolności dar akceptacji, wyboru, dobroci, miłości, szczęścia. Nawiązuje relacje, lecz nie od razu przenosi się w niego darowywane dobro. Kształt tego dobra jest inny. Nie przystaje do psychiki, przystosowanej do odbioru tego, co otrzymywał dotychczas. Człowiek ocenia tę sytuację, jako zrywając się powiązań. Często znowu ucieka z tych powiązań, wchodzi na drogę nieustannych poszukiwań, w etap tułacza, kogoś samotnego, skazanego na osobność, odrzucenie, wykluczenie miłości i szczęścia.

I wtedy jest najciężej, w tym okresie rodzenia się przeczucia, że mój los jest nieodwracalny, że miłości i szczęścia nie można już zdobyć, uczynić swym codziennym życiem. I znowu powtarzają się ucieczki.

Przejawy tych ucieczek są odwrotnością tego, co dotychczas było. Uciekając przed sobą człowiek chce zmienić cały kontekst dotychczasowego życia. Zmienia lektury, aby nabyć nowych skojarzeń, spotkać inne myśli, ułatwiające odejście od bolesnych pytań. Zmienia lub chce zmienić rodzaj pracy i miejsce pracy. Decyduje się na los podjęcia zobowiązań, których dobrze nie spełni, gdyż brak mu wyspecjalizowania w nowym rodzaju pracy. W nowym miejscu pracy nie umie sprawnie się poruszać, błądzi, uzyskuje słabe wyniki, wpada w konflikty. Wszystko to deprymuje go, miesza, zawstydza. To nowe, dodatkowe zawstydzenie rodzi pomysł dokładniejszej ucieczki, dalszej, zacierającej ślady. Człowiek organizuje wyjazd. Rzuca się w wir przygotowań, załatwia sprawy podróży, odwołuje dotychczasowe zobowiązania, zbiera najpotrzebniejsze rzeczy, zamyka lub rozdaje to, czego nie weźmie z sobą, przenosi się do innych miejscowości, gdzieś daleko, aby nie być tam, gdzie wszystko kojarzy bolesne wydarzenia. W tym nowym miejscu pracy i pobytu sytuacja się powtarza. Trzeba przywykać do nowej pracy, do nowego środowiska, do nowych zwyczajów. Jest to na ogół długi proces, tak jak długie jest dzieciństwo. Nie łatwo je przetrwać, uzyskiwać już radość, bezkonfliktowy pobyt, zadowolenie z siebie i uznanie innych, przynajmniej ich akceptację.

Brak powiązań emocjonalnych, brak przejęcia się naszym nikomu nieznanym losem jest znowu drogą do izolacji, osobności, pustki. I znowu człowiekowi ciężko, a przede wszystkim dokuczają mu tęsknota. Nic bowiem nie zmieniło się w jego psychice. Nie wygasła miłość. Została tylko pominięta. To pominięcie wciąż zawstydzają i staje się tak dojmujące, że człowiek znowu planuje ucieczkę. Decyduje się na nowy wyjazd, wszystko zmienia, likwiduje, przenosi gdzie indziej, aby za jakiś czas na nowo to opuszczać i zmieniać. Zawstydzenie, popłoch, panika wypychają go w stan powtarzającego się pomysłu ucieczki. Utrwała się stan ciągłych wyjazdów, los tułacza.

Może dorastający ludzie tak często uciekają z domu właśnie dlatego, że potrzebując miłości w ogromnej jej sile, na ogół jej nie znajdują, nie otrzymują od rodziców, przyjaciół, koleżanek, kolegów. Ich potrzebę miłości uznaje się za chwilowe emocje, zadurzenie, za coś, co minie. Nikt na ogół nie stawia na młodzieńczą miłość, wszyscy każą jej się wyszumieć, jak gdyby dosłownie było to wino, które burzy się, a z czasem uspokaja. Tymczasem ta miłość wypatruje miłości wielkiej, stałej, wiernej, cierpliwej, spokojnej, mocnej, spełniającej nadzieję i trudny los ludzki. Któż jednak umie przyjąć taką miłość, czuć nad nią, chronić ją, kształtować, a potem ją utracić, gdy dojrzeje, gdy sama stanie się siłą i mocą człowieka, gdy zapragnie kogoś chronić, kształtować, gdy musi odejść, aby spełnić los oparcia dla innych serc, dla innej miłości, która szuka nadziei w miłości stałej, wiernej, cierpliwej, spokojnej, mocnej, wielkiej. Nie umiemy być wychowawcami miłości. Nie umiemy tylko kochać nic w zamian nie oczekując. Przywykamy do obecnej przy nas miłości, nie chcemy z nią się rozstać, zatrzymujemy ją, a gdy odejdzie, gubimy się w osamotnieniu, osobności, pustce. Z kolei wstydzimy się tej pustki, osobności, osamotnienia. Uciekamy gdzieś bez sensu. Nie pamiętamy, że może zadaniem człowieka jest zawsze wiernie, bezinteresownie kochać, a nie to, aby wzamian być kochanym. Może zagrożeniem ludzkich powiązań jest właśnie to, że oczekujemy rewanżu, że chcemy być kochani, gdy kogoś kochamy. Wiemy, że musimy kochać ludzi i kochamy ich. Nie zawsze wiemy, że nie powinniśmy oczekiwać zapłaty, także daru miłości. Dar otrzymuje się bez zasług, nie za coś, tak po prostu, gdy czyjaś wolność to zdecyduje.

Lecz właśnie nasze skojarzenia są inne. Nasze oczekiwanie jest zawsze to samo: kochając chcemy być kochani. A gdy ktoś kochany nie obdarowuje nas miłością, niepokoimy się, wpadamy w popłoch, panikę, lęk, działamy zazdrośnie, przegrywamy. Budzi się zawstydzenie, niecierpliwość kojarzy nam ucieczkę.

Zawstydzenie nie uczy nas zrozumienia ludzkiego losu, który polega na tym, aby służyć innym, aby ich kochać, niczego wzamian nie oczekując. I tylko cieszyć się, gdy ktoś nas ukocha, niekiedy nie ten ktoś, kogo my kochamy.

Zawstydzenie więc nie oczyszcza, nie prostuje dróg ludzkich. Ono właśnie zamyka, izoluje, oddziela. Nie przekształca się w żal, w pokutę. Żal i pokuta są wynikiem tęsknoty. A zawstydzenie jest wynikiem próżności i często, bardzo często aktywizuje pychę. To pycha każe uciekać lub próżność. To one oddzielają od nadziei, od spokoju, od zgody na to, że oczekiwanym darem miłości nie zostaliśmy wyróżnieni. Z tego względu zawstydzenie wprowadza nas w nowy etap poczucia zagrożenia, w zamknięcie się w bólu.

3) Ból

Bólem jest już poczucie zagrożenia. Etapy tego poczucia także bolą. Bólem jest więc lęk, z kolei zawstydzenie, wszystkie próby ucieczki i zazdrość. Zazdrość, także boli. Od niej ucieka się najpóźniej, dopiero wtedy, gdy wywoła ona nowe zawstydzenie. To zawstydzenie, które zamyka człowieka w nim samym, wywołuje ból. Człowiek bowiem sam musi sobie radzić z lękiem i zawstydzeniem, musi trwać w poczuciu zagrożenia, gdyż nie udały się ucieczki. To wszystko przeżywa już teraz jako ból.

Ból jest na ogół wołaniem o pomoc. Jednak tym wołaniem nie jest on sam, lecz jego znaki.

Ból fizyczny pozostaje przecież w nas. Ujawniamy go w płaczu, krzyku, czasem tylko w wyrazie twarzy, gdy konwenans lub silna wola każą nam unikać sposobów zbyt głośno alarmujących ludzi. Niekiedy ból jest tak silny, że wołamy o pomoc natarczywie, wzywamy pomocy. Ktoś przywołuje lekarza, zaczyna się leczenie, uwalnianie od bólu. Gdy źródłem bólu jest fizyczny stan organizmu, leczenie jest na ogół łatwiejsze.

Termin „ból” odnosimy najczęściej do fizycznego stanu organizmu. Świadomość tego bólu i jego źródeł, zmartwienie chorobą, stan psychiczny, nazywamy cierpieniem. Termin „cierpienie” oznacza więc element osobowości, to, co dzieje się w naszej psychice. Cierpienie wobec tego jest czymś więcej niż bólem. Jest wynikiem trwania bólu. Jest świadomością jego trwania. Człowiek więc doznaje bólu i cierpienia.

Cierpienie można przetrwać, gdyż dzieje się ono w psychice. Gdy zbyt dolega, choruje także psychika. Cierpienie można przenieść jednak aż w duszę. Tu, w duszy, nie zagraża człowiekowi jako przyczyna zniszczenia, gdyż dusza nie ulega zniszczeniu. To cierpienie może niekiedy leczyć duszę, oczyścić ją, pogłębić. Owocuje więc nawet korzystnie dla człowieka.

Ból raczej niszczy. A mówiąc dokładniej, niszczą nas przyczyny bólu. Ból jest wołaniem o pomoc. To prawda. Jest jednak wynikiem obecności w nas tego, co boli. I to, co właśnie boli, czego nie można usunąć, od czego nie można uciec, to nas ogarnia, wypełnia, izoluje, kieruje do siebie, odsuwa od relacji zewnętrznych, od szans uwolnienia się od lęku, zmartwień, od poczucia zagrożenia. Pochłania nas i obezwładnia. To jeszcze nie jest bezradność, to jeszcze nie jest smutek. To jest dopiero etap bólu.

Bólem jest ten stan psychiki, w którym świadomość trwania bólu nie jest jeszcze czymś w duszy. Jeszcze to, co boli, nie zostało przeniesione w duszę, jeszcze nie jest cierpieniem. Jest progiem cierpienia. Jest biczowaniem duszy. I nie przekształca się w cierpienie, gdy nie opuści obszaru psychiki. Tu, na jej terenie, to, co zagraża, i samo poczucie zagrożenia, wszystkie lęki, zawstydzenia, wyznaczona zazdrością walka, ucieczki od zazdrości, zawstydzenia i lęku, to wszystko jeszcze jest bólem. Gdyby stało się cierpieniem, nie nastąpiłaby rozpacz, człowiek byłby uratowany. Jakże więc jest ważne, aby wszystko, co nas boli, przenieść aż w duszę, w najwyższe wymiary ludzkiego losu, w pełny refleksji i mądrości wysiłek rozumienia tego, co nas spotyka, aby wszystko, czym czujemy się zagrożeni, stało się cierpieniem. Cierpienie bowiem można przetrwać, cierpienie ratuje człowieka. Ból nas niszczy, gdyż nie można przetrwać bólu.

Bólem jest więc także poczucie zagrożenia, które trwa w psychice i nie przekształciło się jeszcze w cierpienie duszy. Nie mogło się jeszcze przekształcić, gdyż nie było czasu, aby poddać je refleksji. Człowiek doznał obaw, zaniepokoił się, zaczął działać, walczyć o to, co traci, wpadł w popłoch, panikę, zaczął przegrywać. Nie korzystał z myślenia, pozostał na poziomie emocji, uległ zawstydzeniu. I to, co było powodem zawstydzenia, teraz jest powodem bólu. Boli nas utrata tego, o co zabiegaliśmy. Boli przegrana, odrzucenie, samotność, osobność, lęk przed pustką. Czujemy się osaczeni pustką, zagrożeni izolacją. Boli nas brak tego, co kochamy.

I nie ma wyjścia z tego bólu. Trwa jeszcze zawstydzenie. Nie zwiernzamy nikomu swoich zmartwień. Wstydzimy się przegranej. Zamykamy się w sobie. Ten stan uniemożliwia wołanie o pomoc.

Ból, który po lęku i zawstydzeniu, staje się kolejnym etapem poczucia zagrożenia, nie jest wołaniem o pomoc. Jest tylko zamkniętym w nas bólem. Zamyka go w nas i wszystkie jego przyczyny właśnie zawstydzenie. A mówiąc dokładniej, zawstydzenie, wywołane przegraną walką, zamyka nasze sprawy w nas samych. I to one nas bolą. Zawstydzenie powoduje, że kryjemy je przed ludźmi i kryjemy je przed sobą. Nie mogą z tego względu być poddane czyjejs, czy naszej refleksji. Nie uzyskują etapu stania się przedmiotem zrozumienia. Nie dopuszczamy ich do własnej duszy. Nie mogą stać się w nas powodem cierpienia. Muszą być powodem bólu.

W tej sytuacji poczucie zagrożenia musi przekształcić się w nas w etap bólu.

4) Smutek

Ból, zamknięty w nas, ukryty, obezwładnia. Trzyma przy sobie naszą uwagę. Nie pozwala odejść od tego, co objęte zawstydzeniem. Czujemy się bezradni. Intelkt, do którego nie dopuszczamy naszych spraw, gdyż zbyt boli świadomość utraty tego, co się kocha, nie może pomóc, zaradzić, znaleźć wyjścia. Tę bezradność potęguje fakt, że nikt nie słyszy naszych wołań o pomoc, gdyż tej pomocy nie wzywamy. Oddziela nas od ludzi i od naszej refleksji właśnie zawstydzenie. Jest cisza, pustka, izolacja. I wtedy pojawia się smutek, zwykła droga do utraty celu życia.

Smutek nie zawsze jest przejawem poczucia zagrożenia i nie zawsze niszczy wolę życia. Jest bowiem głównie znakiem braku miłości, a raczej braku tego, co kochamy. Jest z tego względu zawieszeniem działania, stanem bierności, przeżyciem nieobecności tego, co cieszyło. Nie jest decyzją. Jest oczekiwaniem. Jest brakiem reagowania na ból i cierpienie. Jako stan bierności jest wobec tego gotowością przyjęcia tego, co się uobecni, co ucieszy. Jest zatrzymaniem życia, swoistym zamrożeniem emocji. Jest otwarciem psychiki na to, co przyjdzie. Nie zagraża nam, gdy zwiążemy go z cierpliwością. Ta opieka nad smutkiem, związane go z cierpliwością, wymaga jednak refleksji. Gdy więc ukażemy smutek intelektowi, naszej mądrości, może on stać się początkiem ciszy, początkiem kontemplacji, wnoszącej pokój i pogłębiającej mądrość. Może być czymś dobrym dla człowieka.

Smutek staje się przejawem poczucia zagrożenia oraz drogą do utraty celu i woli życia, gdy właśnie naszego bólu nie poddamy refleksji, nie wniesiemy w obręb duszy, gdy wyizolujemy go, zamknjemy w psychice zgubnym zawstydzeniem, gdy wprost samego smutku nie postaramy się zrozumieć, związać go z cierpliwością, z oczekiwaniami na zmianę relacji, na ich odzyskanie.

Smutek prowadzi więc do rozpaczki tylko wtedy, gdy nasze emocje odizolujemy od refleksji, gdy nie zwiążemy ze smutkiem cierpliwości, gdy zamknięci w sferze uczuć uwiędzimy w niej miłość teraz pozbawioną tego, co człowiek kocha. Intelkt nie może szukać rozwiązań, dostarczyć motywów cierpliwości, zachęcić do jej wyboru. Wola nie może podjąć decyzji zgodnych z rozsądkiem, rozumem, mądrością. Nie ma w ogóle w nas aktów poznania i aktów woli, dotyczących losu naszej miłości. Jest cisza wokół tego, co boli, złowroga cisza. Uczucia nie widzą swej drogi dążeń. Są pomijane. Rozprasza się, płaczą, otaczają ból. Jest tylko ból, który stał się smutkiem. W tej sytuacji smutek jest snem emocji, ich milczeniem. I jest zagrożeniem miłości, oddzieleniem jej od duszy i ciała człowieka, oderwaniem od nas samych, skazaniem jej na banicję w obszar bólu.

Smutek nie zabija miłości i nie zabija jej ból. Miłość trwa. Tylko człowiek, sprowadzający swe życie do bólu i smutku, powoduje agonię pełni tego, czym jest. A może właśnie raczej rozprasza to, czym jest. Zatrzymuje tylko smutek. Staje się smutkiem. Musi więc pojawić się w nim agonია celu i woli życia, ich utrata.

2. Utrata celu życia

Smutek, krańcowa postać poczucia zagrożenia po lęku, zawstydzeniu i bólu, jest biernością emocji, ich snem, letargiem, ciszą nocy i ciemności, zamknięciem okien duszy i ciała. Jest odsunięciem się psychiki od wszystkiego, co było, nawet od lęku, zawstydzenia i bólu. Jest odejściem człowieka nawet od siebie, a raczej jest zredukowaniem siebie do pustki. Jest potrzebą tej pustki. Muszą wtedy zamierać cele, które kierują poza okna duszy i ciała. Potrzeba braku kontaktu z czymkolwiek, nawet z sobą, potrzeba pustki muszą powodować agonię emocji, które są odniesieniami właśnie do celów. Odniesione do bólu, który je odsuwa przekształcając się w smutek, giną.

Smutek, jako stan bierności emocji, jest pogłębieniem zerwania związków z myśleniem i decyzjami. Z powodu tego zerwania intelekt nie może ukazać emocjom celu, a wola nie może zdecydować ich osiągnięcia. Właśnie umierają cele, a wśród nich cel życia i potrzeba życia.

Utrata celu życia ma więc postać najpierw izolacji, z kolei wygasania potrzeby pracy, wreszcie dominacji marzenia.

1) Izolacja

Izolowanie się od myślenia i decyzji, od celów i działania, od wypełniających nas emocji, jest złudnym poszukiwaniem ciszy. Umęczony lękiem, zawstydzeniem i bólem człowiek chce od nich uciec. Chce uciec od całego poczucia zagrożenia, od wszystkiego, co było, nawet od smutku, w którym nie wiedząc o tym pozostaje. Nie korzystając z myślenia sądzi, że uwolnił się także od smutku. Już nawet go nie identyfikuje, już przebywa w ciszy. Uważa, że minęło zagrożenie, lęk, zawstydzenie, ból i smutek. Tymczasem osiągnięta cisza nie jest pokonaniem poczucia zagrożenia, jest właśnie biernością emocji, ich snem i letargiem, ginięciem z głodu. Nie wzmacniane pokarmem celów, zamierają.

Izolacja, która przybiera postać ciszy, nie jest wynikiem wyboru warunków ćwiczenia się w trafianiu na dobro. Usprawnienie się w takim trafianiu wymaga mistrza, nauczyciela. Musi nim być czło-

wiek albo Bóg, ktoś żywy, myślący i dobry. Nie może nim być idea, tekst, nawet tekst Ewangelii. Idee i teksty usprawniają tylko wtedy, gdy ich treść przekazują nam osoby. Wymaga to dialogu, rozmów, myślenia i decyzji. Taki dialog jest życiem, rozpoznawaniem celów i ich wyborem. Życie nie jest ciszą, lecz obecnością wśród osób, jest gwarem, choć nie chaosem, wewnętrznym przebudzeniem, a nie snem lub letargiem, jest aktywnością, nie biernością. To życie wymaga wy-ciszenia tego, co zbędne, drugorzędne, krzykliwe modne, bezwartościowe, i wymaga udzielenia pełnego głosu temu, co istotne. Wymaga ogołocenia z tego, co błędne, mylące, i zrobienia miejsca temu, co prawdziwe, słuszne, dobre. Cisza jest odwrotnością tych sytuacji, jest postacią izolacji, odejścia, negacji. Rodzi się z błędu uznania postulatów za rzeczywistość.

Izolację jako poszukiwanie ciszy lub jawiącą się w postaci ciszy poznajemy po tym, że przerwano zewnętrzną i wewnętrzną rozmowę, że nie ma dialogu z mistrzem, że właśnie jest w kimś dosłownie cisza, sen, letarg, agonia, uznana za ciszę, spokój, odosobnienie. Tymczasem postulat wewnętrznego uspokojenia, odosobnienia, uzyskiwania ładu, zgody ze światem i z sobą, utożsamiono z realnym smutkiem. To, co oczekiwane, uznano za obecne.

Gdy się to stało, izolacja przeszła z etapu ciszy w etap negacji. Utrata celu życia zjawiała się w postaci izolacji, która ma właśnie etap ciszy i etap negacji.

Izolacja w postaci negacji to nieczułość. Jest to bowiem wciąż stan emocji oddzielonych, osobnych, biernych. Jest to machnięcie ręką na wszystko, co zewnątrz i wewnątrz człowieka, brak reakowań na siebie i ludzi.

Martwimy się znieczułością, tragiczną chorobą społeczeństw. Czyżby aż tyle osób było dotkniętych smutkiem jako ucieczką przed poczuciem zagrożenia, że nieczułość stała się zjawiskiem społecznym? Czyżby aż tylu osobom zagrażała rozpacz?

Cisza nie jest spokojem, gdyż spokój to zgodność osób, celów, dążeń. Cisza to sen, który nie przynosi zdrowia. To zamieranie celów.

Nieczułość nie jest umiejętnością wyborów, nie jest sporem, dialogiem, negowaniem postaw, decyzji i celów. Jest odrzuceniem wszystkiego, lecz nie w dialogu i działaniu, lecz w biernym odejściu, a raczej jest biernym zatrzymaniem się w miejscu, w smutku, który odziera od aktywizujących emocje celów. Gasną w tym smutku, zamierają.

Jeszcze jednak nie wygasły. Jeszcze trwa ich letargiczny sen. Jeszcze bowiem nie wygasła w człowieku potrzeba pracy. Jeszcze siada on do stołu bezwolny i smutny, zniechęcony i nieczuły, lecz z obawą, że coś przypomni mu to, co sprawiało ból. Jeszcze żyje.

2) Wygasanie potrzeby pracy

Jeżeli człowiek nie wydzwignie się ze smutku przenosząc ból z poziomu emocji na poziom duszy, gdzie ból przekształca się w cierpienie dzięki intelektowi, ogarniającemu świadomością to, co w nim się dzieje, utrata celu życia przybierze postać wygasania potrzeby pracy.

Praca jest też odniesieniem, powiązaniem, relacją. Wiąże człowieka właśnie z celami. A cechuje ją to, że nie jest mechanicznym używaniem siły, lecz naszym twórczym zrealizowaniem celu w fizycznym tworzywku na miarę pomysłu, zgodnie ze sformułowaniem przez intelekt i celu i zrealizowania. Pracą jest działanie, noszące ślad osobowości człowieka, jego myślenia i decyzji.

Zauważmy tu, że wobec tego pracą nie jest każde działanie człowieka. Jest nią tylko działanie twórcze. Inne działania to po prostu mechaniczne używanie siły. Czy jest więc pracą ludzką przenoszenie ciężarów, wydobywanie węgla? Taką pracą może wykonać maszyna. Jest to więc praca w ujęciu fizyki, a nie w kategoriach wiedzy o człowieku. Pracą ludzką jest twórcze posługiwanie się siłą, tworzywem i celami, kierowane myśleniem i słusznym wyborem.

Smutek wyklucza korzystanie z intelektu i woli. Kieruje emocje do bólu i od nich oddala. Pozostawia je w pustce, w rozproszeniu, rozpadzie, bierności. Człowiek więc smutny nie pracuje na miarę człowieka. Jeżeli wykonuje jakieś działania, to zgodnie tylko z fizykalną definicją pracy. Mechanicznie siada do stołu, przenosi ciężary, wydobywa węgiel. Nie ma potrzeby tworzenia, gaśnie w nim potrzeba pracy właściwej człowiekowi.

a) Pierwszą postacią tego wygasania w człowieku potrzeby pracy jest zaniedbanie intelektu i narastanie ignorancji. Człowiek oddalił się od tego, czym żył, co znał i co mobilizowało go do pracy. Nie podejmuje impulsów z zewnątrz, gdyż boi się bólu. Nie chce myśleć o tym, co się zdarzyło. Nie sięga po książki, nie szuka rozmów. Nie nabywa więc wiadomości. Zamyka się w sobie. Nawet swą pamięć odrywa od tego, co było. Wprowadza się właśnie w stan niewiedzy. Buduje mur smutku, który go izoluje, sądząc że chroni się przed innymi i przed sobą. To prawda, człowiek uzyskuje ciszę. Jest ona jednak niszcząca, jest negacją i przekształca się w izolację.

Długie przebywanie w tej izolacji, wymagającej odrobiny rozeznania i decyzji, z czasem przekształca się w pełną bierność, w wygaśnięcie potrzeby pracy. Zaniedbany tą bezczynnością intelekt wchodzi w stan właśnie ignorancji. Nic nie dzieje się w duszy. Zamiera nawet oczekiwanie. Wola pogrąża się w stan abulii.

b) Drugą postacią wygasania w człowieku potrzeby pracy jest po ignorancji stan właśnie abulii: zniszczenie aktywności woli. Wyizolowany intelekt nie dokonuje czynności poznawczych, gdyż nie mobilizuje go nic z zewnątrz. Nie oddziałują na niego nawet wewnętrzne emocje, gdyż smutek rozproszył je, aby nie sprawiały bólu. Wola nie otrzymuje więc bodźców. Smutek nie dopuszcza do niej informacji intelektu, który zresztą ich nie nabywa. Nie dopuszcza też emocji, aktywizujących wolę zwykle gwałtownie, często o sile aż namiętności. Ponieważ namiętność jest nie poddaną rozsądkowi potrzebą osiągnięcia celu, aktywizującego emocje, nie ma w człowieku także namiętności, gdyż smutek oddzielił emocje od celów, nawet od duszy i ciała, aby nie dopuścić do bólu. Wola izolowana od wpływu intelektu i emocji, przestaje działać. Trwając dłużej w tej pustce staje się bierna. Nie działa, co jeszcze nie jest najgorsze. Z czasem odzwyczajają się od oczekiwania na bodziec. Ten stan jest już tragiczny: jest abulią, jest wygaśnięciem potrzeby działania.

Intelekt nie pracuje zagłodzony brakiem informacji, które wywołują myślenie. Gaśnie myślenie. Intelekt przestaje działać. Wola nie pracuje pozbawiona wpływu intelektu, który nie jest zasilany wiedzą. Jest pozbawiona także mocy, płynących ku niej z emocji. Jest bezradna, ku niczemu nie kierowana. Smutek przymusza ją do wygasania oczekiwań. Stanowiąc w człowieku władzę decyzji i nie spełniając tych działań, wola ciężko choruje, gdyż atakowana jest wprost jej natura. Gaśnie jej zdolność decyzji. Przestaje działać.

W tych sytuacjach człowiek nie tylko oddzielił się od wielu swych

szczegółowych celów. Wprowadziwszy się w stan ignorancji i w stan abulii odszedł także od podstawowego celu życia: od prawdy, zasilającej intelekt oraz od dobra, którym żyje wola. A ponieważ prawda jest przedmiotem wiary, a dobro wyzwala nadzieję, człowiek traci wiarę i traci nadzieję. Trwa w nim tylko miłość, która wspiera się wprost na istnieniu bytów. Nie zasilana jednak prawdą i wiarą, dobrem i nadzieją, działaniami intelektu i woli, które podtrzymują ją w trwaniu, powoli zamiera. Człowiek nie chce jej trwania. Wybrał skutek odrzucenia jej swą decyzją. Tym skutkiem jest smutek, cień miłości. Wybrał także skutek nie myślenia o niej. Tym skutkiem jest marzenie, cień rozumnego myślenia. Te skutki zrywania więzi wiary, nadziei, miłości, nie mają siły kierowania do osób: do ludzi i do Boga. Człowiek utracił właśnie podstawowy cel życia: trwanie w powiązaniach przez miłość, wiarę i nadzieję z osobami, z Bogiem i ludźmi, głównie z tą najbardziej ukochaną osobą, która nie podjęła naszej miłości. Ta niepodjęta miłość, boleśnie samotna, oddzielona od osób, zamiera.

Tracąc miłość, to znaczy nie podtrzymując jej w trwaniu działaniami intelektu i woli, człowiek odsuwa się także od Boga, który nigdy nie przestaje nas kochać. Człowiek zapomina o tym, gdyż zawiesił działanie intelektu. Nie kieruje się do Boga, gdyż wstrzymał działanie woli. Bezwiednie i bezwolnie wprowadza się w tragedię samotności miłości, zamierającej powoli. Wraz z jej zamieraniem traci podstawowy cel życia: trwanie wśród osób przez więzy miłości, wiary i nadziei, które łącząc ludzi stanowią szczęście, a łącząc ludzi z Bogiem stanowią zbawienie.

3) Dominacja marzenia

Z powodu ignorancji wygasa wiedza i wspierany nią rozsądek. Z powodu abulii, gdy wola zagubił oczekiwanie, wygasa potrzeba pracy. Pozostaje wciąż dominujący smutek, cień dawnej miłości, która już nie fascynuje woli. Pozostaje też marzenie, cień rozumnego myślenia.

Smutek prowadzi do negacji, lecz jest czymś pozytywnym: jest śladem kontaktu z miłością. Ten ślad funkcjonuje, podobnie jak funkcjonuje cień: zasłania, wyziębia, wprowadza w ciemność. W tej ciemności intelekt niczego nie rozpoznaje, wola nie wie, ku czemu się skierować, uczucia nie są scalane, lecz rozprasane. Cień ogarnia myślenie, decyzje i uczucia. Smutek oddzielając nas od celów zewnętrznych, nawet oddzielając we wnętrzu człowieka jego duszę od wszystkiego, co sprawia ból, nie pozwala rozróżnić i jak gdyby zmusza to, co jest w nas, do podania się ciemności. Teraz cień i ciemność scalają wewnętrzną zawartość człowieka. Postacią tego scalania jest marzenie.

Gdyby to marzenie obudziło tęsknotę, gdyby więc powiązało smutek z oczekiwaniem, co stanowi tęsknotę, człowiek jeszcze tu powstrzymałby pogrążanie się w rozpacz.

Niestety, rzadko marzenie budzi tęsknotę. Jest bowiem tylko cieniem myślenia, a nie myśleniem. Cień nie rozjaśnia, nie ukazuje drogi, raczej zaciemnia, myli. Do obudzenia tęsknoty jest potrzebne zasilenie człowieka miłością. Tymczasem cień ogarnął także miłość. Nie ma ona siły ożywienia, ogrzania duszy. Cień wyziębia. I człowiek zatrzymuje się w marzeniu.

Marzenie mogłoby mobilizować, gdyby pojawiło się w okresie uwzględniania przez człowieka myślenia i posługiwania się decyzją. Byłoby ono wtedy przeżywaniem radości przewidywań. Człowiek snułby baśń

o tym, co się zdarzy, czego oczekuje, co postuluje. Kojarzyłby możliwości, które nie istnieją, o których tylko się myśli. Intelpekt w tym palaczeniu budowałby właśnie baśniowe sytuacje, umieszczał nas w pałacach i kwiatach lub w codziennym rytmie działań, którymi wyrażalibyśmy miłość. Ponieważ to, co możliwe, nie istnieje, wola nie może podjąć odpowiednich decyzji, może tylko wytworzyć stan radości: akceptację tego, co myślimy. Niekiedy może uruchomić działanie, gdy któreś z marzeń rozsądek ukaże jej jako prowadzące do celu: do osoby, którą ukochaliśmy i gdy zgodnie z prawdą pomoże ocenić nasze siły. Może jednak zdarzyć się, że radość, która dzieje się w psychice, włączy w działanie woli nasze emocje. Stają się one wtedy siłą, która mija argumenty i pobudza wolę do decyzji, już mało zgodnych z rozsądkiem. Wtedy mówimy o zakochanych, że tracą rozsądek, że miłość jest szalona. Wtedy bowiem nie identyfikujemy osób, rzeczy, celów, nie rozpoznajemy, czym są, by wiedzieć, jak się do nich odnosić. Wtedy traktujemy wszystko, jako coś dla mnie. Wtedy to, co postulujemy, uważamy za istniejące. Zmieniamy nawet język i to, co prawdziwe, dobre, istniejące, myślane, uszczęśliwiający, uważamy wprost za prawdę, dobro, istnienie, myśl, szczęście. Jest to słuszne, gdy wyrażamy, czym coś jest dla mnie. Jest błędne, gdy traktujemy to jako identyfikację tego, co kochamy. Osoby są prawdziwe, dobre, istnieją, myślą, uszczęśliwiają. Nie są prawdą, dobrem, istnieniem, myślą, szczęściem. Są osobami, prawda jest prawdą, dobro dobrem, istnieniem istnieniem, myśl myślą, szczęście szczęściem. To, czym coś jest, nigdy nie jest zarazem czymś innym. Takie ujęcia nie są wynikiem poznania, są tylko decyzją, którą pod wpływem emocji uczyniliśmy zarazem rozpoznaniem. Wola nie jest intelektem, jest wolą, a intelekt nie jest wolą, jest intelektem. Myślenie nie jest decydowaniem, decydowanie nie jest myśleniem. To, co myślane, nie jest tym, co realnie istniejące. To szalone wartościowanie, że ktoś jest dla mnie prawdą, dobrem, istnieniem, myślą, szczęściem, czeka nas, wciążą i budzi sympatię, gdy odnosimy je do osób kochanych.

Marzenie jednak, gdy trwa w nas smutek, oddzielone od myślenia, decyzji i emocji, jest tylko cieniem i ciemnością. Pozbawia sił i wyziębła. Związane z lękiem, aby nie doznać bólu, nie dotyczy celów zewnętrznych lub kogoś poza nami. Jest zarazem ucieczką od nas samych. Nie wywołuje jednak zmiany miejsca, podróży, podejmowania pracy. Raczej zatrzymuje i wynosi ku temu, co nierealne. Wprowadza w cień, w odwrotność realności i miłości. Przyzwyczajają do fałszu, zła, możliwości unicestwienia, bezmyślności, zgody na nie przeciwstawianie się nieszczęściu. Takie przecież są odwrotności prawdy, dobra, istnienia, myślenia, szczęścia.

Marzenie smutnych demobilizuje. Gdy trwa długo, niszczy motywy samoobrony. Gdy trwa długo, właśnie dominuje i zabija.

3. Wygasanie motywów samoobrony

1) Proces długotrwały

Człowiek nie poddaje intelektu oddziaływaniu bytów zewnętrznych. Nie nabywa wiedzy. Oddziela też intelekt od posiadanej w sobie wiedzy o tym, czego doznał. Uaktywnia zapominanie. Wprowadza się w stan niewiedzy. Jego intelekt wraca do etapu niezapisanej tablicy. Nie jest aktywowany nawet emocjami, od których człowiek ucieka w smutek.

Wola nie jest informowana przez intelekt o bytach jako dobru. Nie wpływają na nią emocje. Nie jest skłaniana do decyzji. Nie podejmuje ich, zasypia, zamiera.

Zanika myślenie, zamierają decyzje, rozpraszają się emocje. Nie mogą stać się namiętnością, siłą. Błąkają się po psychice, kapryszą w ciemności. Są to kaprysy bezmyślne, małe, zmienne, gdyż nie wsparte decyzją. Człowiek staje się bezmyślny, bezwolny, kapryśny w drobniactwach, małostkowy, niezdolny dla otoczenia i wycofujący się ze wszystkiego, słaby, chory.

Nie jest chory psychicznie. Nie ma w nim zaburzeń fizycznych. Tylko zewnętrznie wygląda na chorego psychicznie i fizycznie. Jest po prostu bliski rozpacz, a poznajemy to po tym, że reaguje na ból, na ten jeden ból, który mu sprawia nasze nieostrożne przywołanie doznanej przez niego katastrofy, nie dającego się zrozumieć i zdystansować przeżycia, organizującego przedtem myślenie, decyzje i emocje. Chorzy tak nie reagują. Zródłem ich stanu są zniekształcenia fizyczne systemu nerwowego. Gdy tych zniekształceń nie stwierdzamy, nie ma choroby psychicznej. Jest tylko długotrwały stan pograżania się w rozpacz z powodu lęku przed kontaktami z otoczeniem, aby nie doznać bólu i usytuowanie się w smutku, który wprowadza w marzenie, oderwane od myślenia, decyzji i emocji.

Leczenie zrozpaczonych musi być zadawaniem bólu. Często trudno trafić na to, co wywołuje ból i proces leczenia trwa długo. To zadawanie bólu niekiedy może stać się ryzykownym zabiegiem, gdyż może pchnąć w głębszą izolację, dezaktywizację i marzenie. Leczyć zrozpaczonych mogą tylko osoby, które ich głęboko kochają, gdyż tylko miłość tak przewija rany, że nie boją. Trudny to postulat i trudna do uznania prawda.

Zaawansowaną rozpacz często kwalifikuje się dziś jako chorobę psychiczną. Efekty leczenia są nikłe, gdyż lekarz nie identyfikuje się dziś z osobą kochającą. Jest instytucją, stosującą przewidziane zabiegi. Czy reszta może postępować inaczej? Czy ktoś z nas jest w stanie tak kochać każdego człowieka, by go przywracać nadziei i życiu? A powinniśmy tak właśnie służyć ludziom.

Gdy ktoś zrozpaczony nie trafi na kogoś tak go kochającego, że aż przywracającego nadziei i życiu, dochodzi do etapu wygasania motywów samoobrony. Pogłębia się w nim proces zanikania myślenia, zamierania decyzji, rozpraszania się emocji. Mur smutku oddziela sferę myślenia i decyzji do sfery emocji. To, co było jednością podporządkowań, jest teraz rozbite. Bez wzajemnego wspierania się ginie. Rozpada się życie duchowe w swej warstwie intelektualnej i wolitywnej. Rozpraszają się emocje. Załamują się siły fizyczne. Organizm się nie broni, atakują go choroby, człowiek powoli umiera, bardzo powoli, w długotrwałym procesie wygasania potrzeby samoobrony.

Zauważmy tu, że chorzy psychicznie w wyniku zniekształceń fizycznych ich systemu nerwowego, żyją długo. Nie niszczy ich właśnie przeżycie.

Zrozpaczonych izoluje smutek, głównie izoluje i wprowadza w świat nierealnych marzeń. Przez ten świat możemy do nich dotrzeć, do śladów ich myślenia i wyprowadzać ich powoli z cienia ku światłu. A nawiązywanie do towarzyszącej marzeniu radości, nikłej radości, wyzębionej, pozwala wyprowadzać ich ku ciepłu. To ciepło płynie tylko z miłości. Musi ona być zawsze większa niż wyzębienie woli i cień myślenia.

Cień myślenia i wyziębienia woli to odwrotność prawdy, dobra, istnienia, działań intelektu, szczęścia woli. To właśnie fałsz, zło, unieczystwienie, bezmyślność, trwanie w tym, co unieszczęśliwia.

Trwanie bez osoby, którą się kocha, trwanie więc w tym, co unieszczęśliwia, rodzi poczucie odrzucenia.

Wypędzeni z relacji życzliwości, oddzieleni od osób, kierując się smutkiem przestajemy być życzliwi nawet dla siebie. Swoicie oddzielamy się od siebie. Przeżywamy stan odrzucenia siebie. Nikt — tak sądzimy — nie wiąże się z nami więzią wierzenia nam i my nikomu nie wierzymy. Nikt nie wiąże z nami swych oczekiwań, swych nadziei i my nie wiążemy już z nikim naszych oczekiwań i nadziei. Nie wierzymy także sobie i przestajemy czegokolwiek od siebie oczekiwać. Nie widzimy, że odwrotność szczęścia, jego brak uznaliśmy za coś, co jest, za realność. Fałsz i zło uważamy za cele, które spełniamy. Rozstrzygamy poza myśleniem i decyzjami, poza prawdą i dobrem. Już nie kieruje nami myślenie wyznaczone prawdą. Funkcjonują w nas kojarzące się mechanicznie konsekwencje poczucia odrzucenia. Już nie podejmujemy decyzji orientowanych dobrem. Funkcjonują konsekwencje abulii, tragicznej bezwolności.

Bezwolność. Jakże trafna w tym wypadku jest etymologiczna treść tego słowa. Wola nie działa, nie podejmuje decyzji. To nie jest jednak stan bierności. Ten stan jest prawidłową postawą intelektu. W woli jest on zawieszeniem jej działania. Zachowujemy się bezwolnie, bez udziału woli, bez woli. Owszem, wtedy ewentualnie ktoś za nas decyduje lub decydują w nas emocje. I nie jest to jeszcze tragiczne. Bezwolność jest utratą wolności. Nie znaczy to, że izolacja, negacja, marzenie osiągnęły swój niszczący nas pułap. Znaczy to, że wycofując się ze wszystkiego i odrzucając nawet siebie przestajemy być izolowani, negujący, pogrążeni w marzeniu, w innym świecie, który nas nie unieszczęśliwia. Przystajemy być wolni. Opanowują nas konsekwencje lęku, zawstydenia, bólu, smutku, izolacji, negacji, marzenia, wszystkie konsekwencje poczucia zagrożenia i utraty celu życia. Opanowują i niszczą.

Lęk wywołał zazdrość. Nie wiedzieliśmy i nawet nie uwierzylibyśmy, że zazdrość oddala kochaną osobę, a nas niszczy, gdyż wprowadza w zawstydenie. Zawstydenie wyznaczyło ucieczkę od ludzi. Przestaliśmy szukać pomocy. Uciekliśmy do wnętrza swego bólu. Skupił on naszą uwagę, a nie dzielony z nikim przez zwierzenie, wprowadził w smutek. Smutek oddzielił nas od myślenia, decyzji, emocji, wyizolował nas, oddzielił i skierował do marzeń. Zamknęły się nasze wewnętrzne dzieje. Uciekliśmy w fikcje, w odwrotność tego, czym żyliśmy i kim jesteśmy. Osiągnięta cisza nie jest uspokojeniem. Jest przechwyceniem nas przez mechanizm konsekwencji poczucia zagrożenia i utraty celu życia.

Już nie umiemy odróżniać celów bliższych, dalszych i ostatecznych. Te najbliższe, tę bolesną dla nas utraconą czyjaś miłość, uznaliśmy za cel ostateczny, podstawowy, jedyny. Skróciły się odległości. Utratę miłości uznaliśmy za spełnienie się naszego losu. Nieobecność ukochanej osoby i trwanie w tej nieobecności, w tym, co unieszczęśliwia, ten jedyny cel życia odczytaliśmy jako utratę celu. Wprost znaleźliśmy się w sytuacji nieobecności jedynego celu życia. Znaleźliśmy się w pustce, równej niebytowi.

Funkcjonuje konsekwencja tego poczucia pustki. Otacza nas brak, niebyt. A stan odrzucenia siebie także czyni nas brakiem, niebytem.

Zjawia się straszliwe poczucie unicestwienia, odwrotność istnienia.

Gdyby pojawił się popłoch, przerażenie perspektywą unicestwienia, może szukalibyśmy ratunku znowu w zazdrości, która uruchamiając myślenie i decyzje może wyrażała nam smutną prawdę tego faktu. Osiągnęlibyśmy wtedy pokorę, tę prawdę o sobie, która i w braku szczęścia każe poszukiwać dobra. Tym dobrem byłoby cierpienie, które jest wiedzą o bólu i spokojną zgodą na status osoby niekochanej, lecz pełnej tęsknoty. A tęsknota jest życiem, oczekiwaniem, drogą do nadziei.

Nie pojawia się popłoch, przerażenie. Naszą wolność przejęły konsekwencje poczucia pustki. Nawet o tym nie wiemy, gdyż myślenie zamarło. Zamarły decyzje. Rozproszyły się emocje. Już nawet nie płaczą kaprysy. Jest w nas ciemność i zimno. Agonia, oddzielenie się emocji od myślenia i decyzji, rozpad życia duchowego, jego unicestwienie. Nic się w nas nie dzieje. Już nic nie smuci, ani nie raduje. Trwa duchowa pustka.

Rozprasza się powoli życie psychiczne. Tracimy poczucie rzeczywistości, poczucie czasu, obowiązków. Siedzimy w fotelu patrząc bezmyślnie w jeden punkt, w jakąś przestrzeń.

Zapominamy o jedzeniu. Wygasa potrzeba ruchu, fizycznej aktywności. Zaniedbany organizm ulega chorobom. Nie bierzemy lekarstw lub je przyjmujemy. Nie ma w nas jednak woli życia. Bez naszej siły duchowej organizm fizyczny nie może się wybronić. Nie śpimy, nie możemy spać. A w jakimś czasie zasypiamy. Na zawsze.

Zabiła nas rozpacz.

2) Proces nagły

Osoby, które nas kochają i których miłości nie możemy podjąć, powinniśmy przygotować do przeżywania naszej nieobecności. Gdy odejdziemy nagle, gdy nie zostawimy im czasu na przetrwanie lęku i gdy nie uchronimy ich przed przekształceniem się lęku w zazdrość, przeżyją tę zazdrość, zawstydzenie, ból, smutek, izolację, negację, marzenie, cały proces poczucia zagrożenia, utraty celu życia i wygaśnięcia motywów samoobrony, lecz przeżyją to właśnie nagle. Rozpacz zabija ich natychmiast.

Właściwie trudno ustalić, dlaczego rozpacz zabija niektóre osoby powoli w długotrwałym procesie, i dlaczego niektóre zabija nagle, natychmiast.

To natychmiastowe zniszczenie ma dwie odmiany: śmierć w wyniku załamania się organizmu fizycznego i śmierć samobójczą, tragiczny los osób, które poddały się rozpacz.

a) Śmierć naturalna

Ktoś, kogo kochamy, jest naszym oparciem, gdyż miłość wspiera się na jego i naszej rzeczywistości przystosowując do siebie te dwie osoby do odniesień życiowych. Ta życzliwość wspomagana jest wiarą, którą wyzwała otwartość na siebie tych dwu osób, udostępnienie siebie w pełnej prawdzie. A razem budzą nadzieję, że będzie trwało to spotkanie osób. Jest ono naszym podstawowym środowiskiem, które mając postać miłości, wiary i nadziei jest obecnością osoby kochanej. Ta obecność jest domem, szczęściem, w którym pragnie się zawsze przebywać. Jesteśmy kochani, ktoś nam do końca wierzy. Chcemy być w tych warunkach, w tym środowisku, domu, szczęściu. Aktywizujemy myślenie i decyzje do działań, podtrzymujących w trwaniu miłość, wiarę i nadzieję, nasz prawdziwy dom. Wspierają nas emocje, marzenia, umiejętność podejmowania trudu myślenia i decyzji, trudu pracy

dla obrony tego celu życia, którym jest nieutralna więź z osobami, które kochamy, ich obecność.

Jedną z tych osób kochamy najbardziej. Jej istnienie i obecność przy nas stanowi uzasadnienie wszystkich naszych działań, motyw myślenia i decyzji, zwornik emocji, oparcie, środowisko, dom, szczęście.

I nagle ta ukochana osoba odeszła. Mogło to być niepodjęcie naszej miłości, jej odrzucenie. Mogła to być także śmierć fizyczna kogoś nad życie ukochanego, śmierć niespodziewana lub ta, przed którą nie mogliśmy uchronić.

Uświadamiamy sobie nagle, że runął dom, że zostało zniszczone szczęście, że nie ma na czym oprzeć trosk i nadziei, że emocje natrafiają na pustkę, że nasze myślenie i decyzje utraciły cel i motyw, że rozpadło się środowisko życia. Przygniatają nas ściany, okna, sprzęty, nie powiązane celem i motywem. Wydaje się nam, że spadamy w dół, w jakąś przepaść, w pustkę bez oparcia. Nie widzimy drzew, kwiatów, ludzi. Nie czujemy ciepła. Jesteśmy w pustce. Nie mamy czym oddychać. Dusimy się. Przystajemy oddychać.

Jakże była tu potrzebna jeszcze jedna miłość: miłość do Boga, do tej Osoby, która przystosowując nas do siebie nie zagraża żadnej naszej miłości, lecz wszystkie je wspiera, pogłębia i utrwala. Tracąc kogoś najbardziej z ludzi ukochanego, nie utracilibyśmy całego domu, całego szczęścia, całej miłości. Trwałoby dalej środowisko życia. Nie byłoby pustki. Byłoby czym oddychać.

Ta miłość do Boga ratuje zakochanych, zaręczonych, narzeczonych, tylko ta miłość, gdy pozostają sami tracąc kogoś nad życie kochanego. Ojców lub matki, gdy jedno z nich umiera, ratuje miłość do dzieci. Gdy umiera im dziecko, ratuje ich więź wzajemnej obecności. Zakochanych jeszcze bez rodzin, bez dzieci, ratuje tylko Bóg.

Czyjaś śmierć, przeżywana od naszej strony, to najpierw bezpowrotne zerwanie kontaktów. Ktoś ukochany już nas nie słyszy, nie widzi, nie odbiera naszych uczuć, myśli, nie reaguje na nasze decyzje, na radość, smutek, łzy. Odchodzi oddzielony pogrzebowym pożegnaniem, znika na zawsze. I tracąc wszystkie z nim więzi, gdy ujmujemy go jako układ tych relacji, zaczynamy myśleć, że dokonało się zupełne unicestwienie nie tylko dotychczasowych kontaktów, lecz także całej osoby. To błędne myślenie tylko relacjami zmusza do przypuszczeń, że grób jest kresem całego istnienia człowieka.

Czyjaś śmierć, przeżywana przez nas od strony zmarłego, lecz w świetle świadectwa Osoby, która własną mocą zmartwychwstała potwierdzając naukę o życiu wiecznym i zbawieniu, jest tylko zniszczeniem kontaktów zależnych od ciała. Ktoś zmarły żyje nadal, bez ciała i dlatego niedostępny naszemu odbiorowi, przeniesiony jako dusza w świat bytów duchowych i w utrwalone powiązania z Bogiem takie, jakie wybrał na ziemi. Jeżeli zabiegał o trwanie w powiązaniach z Bogiem przez miłość, Bóg utrwali te powiązania. Jeżeli nie podtrzymał w trwaniu swej miłości do Boga, pozostanie w tym wyborze, pozostanie samotny, gdyż brak miłości izoluje i unieszczęśliwia. Znajdzie się w paradoksalnej sytuacji trwania bez miłości na zawsze, nawet wtedy, gdy nastąpi zapowiedziane przez Chrystusa wskrzeszenie umarłych. Jeżeli nas kochał, nawet gdyby nie chciał kochać Boga, nie będzie zgubiony, gdyż miłość usprawiedliwia. Będzie tylko prostował i oczyszczał swą miłość w czystcu, aż nauczy się ogarniać swą miłością także Boga.

Z pozycji metafizyki istniejących bytów, śmierć jest tylko uszkodzeniem struktury człowieka. Zasadniczą strukturę człowieka, jego tworzywo, stanowią istnienie i istota, która jest duszą i ciałem. Gdy człowiek utraci ciało, nie załamuje się jego bytowa struktura. Jest on nadal istnieniem i istotą teraz okaleczoną. Trwa jako istnienie i dusza bez ciała.

Działają w nim władze duszy: intelekt i wola, skierowane tylko do bytów duchowych, gdyż bez ciała nie może tworzyć pojęć o świecie i ludziach. Nie mając ciała, w ogóle nie może tworzyć pojęć. Może je jedynie otrzymywać, już gotowe, uzyskiwać od Boga, jeżeli Bóg zechce mu je przekazywać. Wola, kierowana zawsze wiedzą człowieka, teraz uzyskiwaną od Boga, podejmuje decyzje zgodnie z tą wiedzą. Tak operując poznaniem i decyzjami, człowiek ma ponadto do dyspozycji to, co uzyskał do chwili śmierci: swoje rozumienia i stan wyborów. I na ich miarę aż do wskrzeszenia przez Chrystusa będzie poznawał i wybierał Boga. Po zmartwychwstaniu ciało uzyska pełną zdolność samodzielnego poznawania oraz uzyska władzę bezpośredniego ujmowania istoty Boga, który jest samoistnym Istnieniem jako byt i Trójcą Osób jako Bóg.

Funkcjonują też w człowieku własności, które posiada on ze względu na swoje istnienie, np. omawiana tu realność, prawda, dobro. Te własności zawsze są podstawą, gdy oddziała na nie Bóg, powiązań z Bogiem przez miłość. Nawet więc ci, którzy nie kochali Boga, teraz widząc Go bezpośrednio, nie będą swym poznaniem i decyzjami uniemożliwiali trwania tych powiązań. Wręcz odwrotnie, rozumiejąc w czystcu szanse miłości, zdecydują się na tę miłość. A zbawieni, którzy czystciec oczyszczeń przeszli na ziemi, będą już od chwili zgonu żyli szczęściem obecności Boga.

Obecność osób, Boga i ludzi, zawsze uszczęśliwia. Ich nieobecność zarówno na ziemi, jak i w śmierci, zawsze unieszczęśliwia, wprowadza w rozpacz, która zabija.

b) Śmierć samobójcza

Nigdy nie należy jej podejmować, nigdy. Zawsze nas kompromituje. Ujawnia, że w naszym myśleniu zdobył przewagę absurd, uznany za argument. Absurd jest zarazem błędem. Polega on na przyznaniu zerwanym kontaktom pozycji bytu, na potraktowaniu więc nieobecności, tego, czego nie ma, jako tego, co jest, skoro to wybieram. Ujawnia też, że naszą decyzją wybraliśmy absurd i błąd, jakby na złość sobie, w jakiejś nonsensownej próżności, która peszy w tragicznej i poważnej sytuacji utraty czyjejs miłości. Ta sytuacja wymaga powagi, a nie zachowań bez rozsądku, bez rozeznania i właściwych decyzji. Ujawnia ponadto, że nie ukształtowaliśmy w sobie do końca godnej człowieka postawy szacunku wobec cudzej własności, którą jest udzielone przez Stwórcę istnienie. Zostało nam dane, aby było szansą naszego życia, aby było bez uszczerbku przechowane do czasu, gdy Właściciel istnień zabierze je do siebie. Tymczasem wyrzuciliśmy z siebie istnienie, brutalnie zwróciliśmy je Bogu niszcząc swoje życie, które także jest własnością Boga. Niszcząc życie, targnęliśmy się na prawa autorskie Boga, popełniliśmy kradzież, jakże przykry czyn człowieka, odsuwający przyjaciół, stawiający w kolizji z prawem i dobrym wychowaniem. Ujawniliśmy, że nie kierowane myśleniem i decyzjami emocje, oddzielone od intelektu i woli, rozproszone brakiem skupiającej je miłości, poza nami, lecz w nas i przeciw nam wybuchły kaprysem poparcia absurdu i błędu pchając nas, ludzi, jak bezwolne

zwierzęta lub rzeczy, jak sprzęty, szpargały w szufladzie, na śmietnik spraw, poza nawias, w zniszczenie, zbutwienie, rozpad, unicestwienie miłości.

Jakże kompromituje człowieka, jakże uwłacza jego godności śmierć samobójcza.

Tak jawi się ona myślącemu obserwatorowi. Tak powinniśmy ją widzieć i rozumieć.

Zaskoczeni jednak nagłym odejściem osoby kochanej, na tyle, na szczęście, zdrowi, że nie pękło nam serce, co pozwoliłoby walczyć z rozpaczą i ją pokonać, wpadamy w popłoch, przerażenie. Z zawrotną szybkością przebiega w nas zazdrość, zawstydzienie, ból, smutek, izolacja, negacja, marzenie, utrata celu życia, motywów samoobrony, cały proces poczucia zagrożenia. I zamiast pomyśleć, wstrzymać decyzje, gdy szaleją emocje tworząc w nas popłoch i przerażenie, zamiast chwycić się cierpliwości, jak pływającej belki na wzburzonym morzu, wbrew temu odruchowi samoobrony sięgamy po narzędzie zniszczenia życia.

Dlaczego, o Boże, dlaczego! Ojcze, matko, synu, córko, dziecko moje, dlaczego! Kolego, przyjacielu, mój uczniu, studencie, towarzyszu pracy, dlaczego!

Wiem, że odejście osoby kochanej jest zawaleniem się świata. Jest utratą celu życia. Jest zniszczeniem środowiska, w którym się żyło, jest pożarem, powodzią. Jest perspektywą życia bez miłości, bez celu, w pustkę, odrzuceniu, bólu, izolacji, samotności.

Samotność niekochanych jest tak wielka, że jej przeciwwagą jest aż świętość, podobna agonია celów dla wybronienia jednego celu: miłości do Boga. Każda samotność izoluje i boli. Nie musi jednak mieć na zawsze kształtu poczucia odrzucenia. Owszem, taki kształt przybiera nawet świętość w okresie biernego oczyszczenia duszy. I gdy to poczucie odrzucenia się utrwali, niszczy świętość, podobnie jak niszczy niekochanych. Gdy się utrwali, przenosi w pustkę, w odwrotność życia.

Gdy kochamy kogoś nad życie, wtedy życie ma dla nas mniejszą wartość niż osoba kochana. Święci to ci, którzy to życie zawierzyli Bogu, stwórcy istnienia i właścicielowi życia. Niekochani to ci, którzy to życie, zawierzone osobie kochanej, która nagle odeszła, teraz z siebie wyrzucają, aby w swej złości, motywowanej próżnością, już nie mieć z tego, co przypomina miłość. Utraciwszy miłość, niszczą także jej podmiot, siebie, aby miłość nie mogła się odrodzić. Ma to więc jednak postać próżności: patrzcie, co potrafię. Niech ginie wszystko.

Jakże przykra jest ta motywacja samobójstwa. Jakże ponadto egoistyczna. Jakże paradoksałna: obraziwszy się na osobę, która nie podjęła mojej miłości, obrażam się na siebie, na cały świat, na drzewa, kwiaty, ludzi, na ciepło, światło, powietrze, na Pana Boga, na swoją pracę. Wszystko niszczy. Porzucony także porzucam i to dotkliwiej niż ty, miłości, która mnie zawiodłaś, gdyż porzucam wszystko.

A jednak nie porzucasz wszystkiego. Nie porzucasz siebie. Istniejesz dalej bez ciała. I bojąc się samotności skazujesz się na samotność bez Boga i osób, które odnalazłbyś po śmierci, gdybyś nie zerwał kontaktów z Bogiem przez kradzież swego życia, przez zniszczenie go bezmyślnie, wprost głupie poza rozsądkiem, wiedzą, rozważną decyzją.

Może samobójstwa przytrafiają się osobom, które negują istnienie Boga. A może jest jeszcze inaczej.

Może jest i tak, że mści się niewiedza, ignorancja, zła teologia. Grzech samobójstwa staje się wtedy grzechem cudzym. Może ktoś właśnie wie i wierzy, że nasze istnienie trwa po śmierci ciała. Gdy więc umiera ktoś kochany, może wtedy śmierć samobójcza jest niecierpliwym przejściem na drugą stronę życia, aby być razem z osobą, która mi umarła. Biegnę za tą osobą. Także umieram niszcząc swoje życie. Nie myślę, nie pamiętam, że życie jest własnością Boga, że kradzieży nie usprawiedliwia moja nieopanowana tęsknota. Złe myślenie za mało wiem, błąd wyznacza moją decyzję. Zresztą to nie decyzja to emocje, przekształcone w namietność, burza namietności i błyskawica, uderzenie gromu, który zabija. To uruchomienie przez burzę moich rąk i błyskawica narzędzia, którym niszczę swoje życie.

Gdy jednak nikt mi nie umarł, gdy zerwały się tylko moje kontakty z kimś kochanym, gdy odszedł, gdy przeraziła mnie perspektywa samotności, długie życie osoby niekochanej, odrzucenie, pustka, gdy właśnie przeraziła mnie pustka, czyż trzeba aż umierać niszcząc życie własnymi rękami? Nie wolno tego robić. Nie wolno.

Robi się to jednak. Rozpacz zabija, gdy się jej poddamy.

II. Budowanie nadziei (nie poddawanie się rozpacy)

Rozpacz jest procesem. Zapewne są w tym procesie słabe punkty, na które można oddziaływać dobrem. Można więc je przekształcić i skierować człowieka ku nadziei.

Rozpacz jest złem, jest procesem zagłady. Zaczyna się od poczucia zagrożenia, a kończy się śmiercią.

Zródłem lub przyczyną zewnętrzną rozpacy jest utrata miłości. Ta utrata jest przeżyciem tak mocnym i o tak tragicznych skutkach wtedy, gdy tego przeżycia nie możemy ani zrozumieć, ani zdystansować, gdy więc nie radzi z nim sobie ani nasze myślenie, ani nasza decyzja. Jest to utrata podstawowego przedmiotu myślenia i podstawowego uzasadnienia decyzji. Gdy intelekt i wola nie kierują się do tego przedmiotu, nie kierują się tam także emocje. Nie są scalane, mobilizowane. Rozpraszają się, wygasają.

Przyczyną wewnętrzną rozpacy lub zespołem sprawiających ją działań jest rozrywanie związku między intelektem, wolą i emocjami, niszczenie jedności podporządkowań, stawanie się wewnętrznego chaosu, rozpad życia wewnętrznego.

Kresem procesu rozpacy jest oddzielenie działań intelektu i woli od emocji, ich rozproszenie, a w wyniku tego śmierć duchowa, z kolei fizyczna, często wieczna, będąca izolacją na zawsze.

Utrata miłości jest odrzuceniem. Jest nieszczęściem, gdy wiązała nas z ludźmi, jest potępieniem, gdy wiązała nas z Bogiem. I prowadzi do dwóch stanów: właśnie do rozpacy lub do nie poddania się rozpacy. Można i w niej budować nadzieję.

Poszukajmy właśnie w procesie rozpacy tych miejsc słabych, które wzmacniając dobrem moglibyśmy uczynić początkiem drogi do nadziei. Stopnie narastania nadziei są bowiem stopniami przewycięzania rozpacy.

1. Przewycięzanie poczucia zagrożenia

Podkreślmy najpierw mocno, że utrata miłości jest przede wszystkim utratą osoby, z którą wiązała nas miłość. Utrata osoby kochanej nie jest zarazem wygaśnięciem miłości, która nas z kimś łączyła. Na ten fakt wskazuje zazdrość. Jest ona przecież walką o to, aby kresem relacji miłości była wybrana przez nas osoba, nie inna, ta jedyna, ukochana.

Należy podtrzymywać w zrozpaczonych tę właśnie miłość. Podtrzymują ją w trwaniu nasze działania poznawcze i decyzje. Aby więc uratować miłość, trzeba wzbogacać poznanie i aktywizować decyzje, aby intelekt był wciąż w kontakcie z prawdą, a wola z dobrem. Gdy się to nie udaje, należy ratować emocje, gdyż rozpacz polega na oddzieleniu emocji od myślenia i decyzji, a z kolei na ich rozproszeniu. Ratować emocje to scalać je jakąś fascynacją, jakimkolwiek pięknem, by wyrывało z bierności, rozproszenia, chaosu.

Piękno nie liczy się w miłości. Jest tylko apelem, przywoływaniem miłości. Gdy pokochamy, przestaje mieć znaczenie. Liczy się jednak ogromnie w rozpacz.

Gdy przestaje działać intelekt, a zależna od jego informacji wola nie podejmuje decyzji, wtedy osamotnione emocje, nie poddane intelektowi i woli, są zagrożone właśnie biernością, rozproszeniem, chaosem. I wtedy może je scalać piękno, bodziec tak silny, że zastępuje intelekt i wolę. Piękno bowiem przywiązuje, porywa, zatrzymuje przy sobie. Może dlatego twórcy zakonów wznosili klasztory w pięknych krajobrazach, aby chroniły one zakonników, gdy będą przeżywali podobną do rozpacz ciemną noc duszy, to oczyszczenie, spowodowane przez Boga, które jest agonią innych niż Bóg celów życia.

Ratować miłość, gdy utraciliśmy ukochaną osobę, to chronić emocje przed zagładą fascynując je pięknem: oglądaniem obrazów, rzeźby, architektury, krajobrazów, gór, morza, lasów, kwiatów, słuchaniem muzyki, poezji. Te doznania mogą przyciągać myślenie, wyzwolić wybory, powodować powoli wewnętrzną aktywność człowieka.

Trzeba to robić zaraz. Gdy sami nie mamy siły, ani skojarzeń, by stykać się z pięknem, musi nas prowadzić do piękna ktoś z naszych przyjaciół, znajomych, bliskich. Ktoś musi pomóc. Musi ułatwić zafascynowanie lub sam zafascynować swą myślą, atrakcyjnością, bezinteresownością, dobrocią.

Gdy zauważymy, że wywołuje to wdzięczność, możemy być pewni, że piękno już oddziaływa na uczucia. Wdzięczność jest bowiem wewnętrzną aktywnością człowieka, znakiem scalenia emocji. Jest przesłanym uśmiechem. Jest łagodnością, wyjściem na chwilę z tragicznego losu, przerwaniem procesu pogrążania się w rozpacz. Nie jest jednak jeszcze uratowaniem miłości. Jest pierwszym punktem w walce o skierowanie kogoś ku nadziei.

Pilnując kontaktów z pięknem i wywołania wdzięczności należy wyrywać zrozpaczonego z dalszych etapów zagrożenia.

1) Wydobywanie z lęku

Gdy poczucie zagrożenia przybierze postać lęku, należy wyrывać z jego objawów. Zupełnie odwrotnie niż w medycynie. W tym wypadku należy leczyć objawy, nie ich źródło. Lęku nie wolno dotykać. Złe robią egzystencjaliści, gdy każą człowiekowi posługiwać się swym lękiem. Ten lęk należy ignorować, nie dostrzegać go, pomijać, aby nie

wywołać bólu. Lęk należy niszczyć poprzez jego wcielenia, poprzez postać podejrzeń, przypuszczeń, zazdrości, popłochu, paniki.

Podejrzenie, przypuszczenie, a pośrednio zazdrość, są wynikiem pomylenia możliwości z realnością. Są uznaniem postulatów za to, co jest, marzenia za rzeczywistość. Myślenie możliwościami, postulatami, marzeniami, a nie realnymi bytami i dobrze zidentyfikowanymi ich własnościami oraz relacjami, wywołuje właśnie popłoch i panikę.

Z podejrzeń i przypuszczeń, pośrednio więc z zazdrości, należy leczyć ucząc odróżniania tego, co możliwe, od tego, co realne. Należy odzwyczczać od wiązania emocji z podejrzeniami i przypuszczeniami, z możliwością, postulatami i marzeniem. Należy wiązać emocje z tym, co prawdziwe i dobre w realnych bytach, gdyż prawda i dobro nie przysługują możliwościom, postulatami i marzeniom, które są tylko kombinacjami pojęć, tylko myśleniem aksjologicznym, a nie identyfikującym realną rzeczywistość. Trzeba po prostu uczyć metafizyki bytu. Zresztą nie wiem, czy bez tej metafizyki można w ogóle uratować swą miłość i życie.

Lęk najpierw przejawia się w zazdrości. Bezpośrednio leczy się z niej stosując kilka zabiegów: ukazywanie w zazdrości ładunku złudzenia, łagodzenie apodyktyczności, zachęcanie do akceptowania wolności, budzenie zaufania do ludzi.

Ukazywanie w zazdrości złudzenia to nawiązywanie do szkodliwości myślenia możliwościami. Nie wszystkich jednak przekonują zarzuty stawiane temu myśleniu, gdyż jako przedmiot analiz filozoficznych tkwi ono głęboko w naszej kulturze. Trzeba by na nowo nauczyć myślenia realnymi bytami, co trwa dość długo. Zresztą argumenty rozumowe nie zawsze mobilizują emocję i człowiek przyjmuje je z rezerwą.

Należy może raczej posłużyć się tą właśnie pedagogiką, która opiera się na postulatach i dyskwalifikować apodyktyczność wobec ludzi. Ponieważ apodyktyczność jest podporządkowaniem sobie ludzi, nawet osoby kochanej, należy zachęcać do akceptowania czyjejs wolności. Wyjaśniać, że miłość jest darem i że wobec tego ma źródło w wolności. Chronienie i nie atakowanie wolności, wspomaganie jej, zabezpieczanie miłość. Zniechęcając do apodyktyczności i zachęcając do akceptowania wolności, starajmy się zarazem ukazywać wartość zaufania. Można nie formułować tego wprost, lecz wspólnie rozważać np. treść pierwszego i siódmego przykazania. Pierwsze uczy przesunięcia siebie na drugie miejsce i oddania pierwszego miejsca Bogu. Uczy właśnie miłości: służenia osobie kochanej, a nie podporządkowania jej sobie. Siódme przykazanie uczy nie zabierania tego, co nie jest moje. Odzwyczcza od stosowania przemocy, usprawnia w duchowej elegancji, w szacunku dla czegoś, co powinno być darem. Dyskwalifikuje więc zazdrość jako apodyktyczne zabieranie sobie kogoś wbrew jego wolności. I chroni przed najgorszym, przed tym, co może nadejść, przed przywłaszczeniem sobie własnego życia: chroni przed samobójczą śmiercią, którą jednak czasem podejmują załamani utratą miłości, gdy nie udało im się przezwyciężyć rozpacz. W ogóle wychowanie do szanowania czyjejs własności i wykluczenia kradzieży przygotowuje do szanowania życia, wolności, miłości. Otwiera na miłość, na ludzi. Należy wtedy korzystnie ukazywać znajomych, bohaterów ksiązek, osoby znane z historii. Należy uczyć życzliwego myślenia o ludziach, gdyż właśnie złe przeżycie utraty osoby kochanej wyzwo-

lilo nieufność. To ukazywanie ludzi w ich zaletach, w dobrym świetle, może obudzić potrzebę przyjaźni, poszerzenia więc kręgu osób kochanych. Zmaleje wtedy tragizm utraty tej jedynej, wybranej osoby. Trzeba jednak uważać, aby to poszerzenie kręgu przyjaciół nie zostało odczytane jako akceptacja odejścia tego kogoś tak rozpaczliwie upragnionego. Nigdy bowiem nie wolno atakować tego, co ktoś kocha. Nigdy nie wolno nie potwierdzać zachwyty wobec osób kochanych. Nie wolno bowiem ranić. Ktoś, kogo chcemy ochronić, odsunie się od nas. Nie wyrwiemy go wtedy z zazdrości. Przeżyje zawstydzienie, które jest pogłębieniem się poczucia zagrożenia.

Gdy ktoś zainteresował się filozofią bytu, gdy rezygnując z myślenia możliwościami i z postawy apodyktyczności powtórzył zachowania łagodne, gdy w wypowiedziach wskazywał na zalety ludzi, to znak, że kolejne miejsca w procesie rozpaczki udało się napełnić dobrem. Może ono przerwać rozpacz. Gdy jednak lęk był bardzo głęboki, tak głęboki, że może tam dotrzeć tylko miłość i tylko Bóg, rozpacz trwa dalej, a poczucie zagrożenia przekształca się w zawstydzienie.

2) Zapobieganie zawstydzieniu

Zawstydzieniu można wyjść naprzeciw zachęcając do wycieczek, do spacerów po parku, w ogrodach, do zwiedzania muzeów, miast, krajobrów. Zawstydzienie bowiem ma najczęściej postać ucieczki. Trzeba wobec tego uprzedzić zrywanie kontaktów, zmianę miejsca pracy. Trzeba wziąć urlop i trzeba udzielić urlopu. Ci, którzy decydują o urlopach, powinni pilnie studiować powody prośby o przerwę w pracy. I powinni ją nawet zalecić, aby kogoś nie zabiło zmęczenie lub właśnie zawstydzienie.

Trzeba jednak towarzyszyć w tej przerwie, w urlopie, w zwiedzaniu, spacerze, wycieczce. Trzeba być blisko, gdyż zawstydzienie, wywołane popłochem i paniką, ma postać przerażenia, zmuszającego do ucieczki lub zamknięcia się w sobie. Przed ucieczką ratuje spacer, urlop. Nie ratuje przed zamknięciem się w sobie.

Doprowadzenie do pozostawienia otwartych drzwi duszy, do nie zatrzaśnięcia oknem, wymaga właśnie obecności przyjaciół. Nie jest to ta obecność najpotrzebniejsza, likwidująca poczucie utraty miłości. Jest to obecność mistrza, nauczyciela, wychowawcy, który musi przeprowadzić z pozycji rozpaczki, z pustki wewnętrznej, z agonii, znowu w szczęście, w dotychczasową aktywność wewnętrzną, w pełnię życia. Takich zadań nawet sobie nie uświadamiamy, rzadko podejmujemy, a gdy już jesteśmy przy zrozpaczonych, to poddając się ich przerażeniu nie śledzimy etapów procesu zagłady ich życia, nie wnosimy dobra w słabe miejsca rozpaczki, lecz tylko jesteśmy. Jakże jednak i to jest wielkim dobrem. Być przy kimś cierpiącym, być jak ciepło, powietrze, oparcie.

Ratowanie przed zamknięciem się w sobie to wprost nurzące przekształcanie w „tak” wszystkich „nie”, stanowiących teraz repertuar przeżyć kogoś zrozpaczonego.

Wstydzi się on, że nie służył miłością, że ją sobie podporządkowywał, że nie był dość mocny, że uległ panice, że zazdrościł, że jest samotny, że tęskni, walczy, że przegrał. Wstydzi się odrzucenia, negacji, pogardy.

I trzeba mu z uporem powtarzać, że służył, jak umiał, że chronił miłość, że był silny, spokojny, że szanował wolność, że ma przyjaciół, że nie jest to jeszcze odrzucenie, negacja, pogarda, lecz refleksja oso-

by, która odeszła, jej proces wyboru. Trzeba oddziaływać ukazywaniem osiągnięć i zalet po obu stronach miłości.

I trzeba zaatakować samo zawstydzenie. Jest ono bowiem znakiem, że przez miłość rozumiemy tylko wzajemność. Jest to słuszne rozumienie w perspektywie metafizyki tylko relacji. Owszem, miłość jest relacją, łączącą dwie osoby. Taka jest jej natura. Jednak w perspektywie metafizyki bytu nie miłość decyduje o losie osób, o tym, że mają być razem. O losie miłości decydują osoby. I swoją miłością mają służyć osobom, a nie miłości. To nie osoby podlegają miłości, lecz miłość podlega osobom. Zawstydzenie więc ma źródło w relacjonistycznym myśleniu o miłości, może w socjologicznie ujmowanej sprawiedliwości. Uważamy, że za miłość powinniśmy otrzymać miłość. Tymczasem miłość przekracza sprawiedliwość, gdyż jest darem, a daru nie można rewanżować. Nie podlega on sprawiedliwości, lecz wolności. Kochając, nie mamy podstaw do spodziewania się miłości. Możemy miłością tylko służyć. A służąc, nie zarabiamy na miłość. Miłość jako dar wynika z innych warunkowań: z samego istnienia, przystosowującego do siebie inny byt istniejący. Utożsamiamy miłość z obecnością. Miłość jest postacią obecności, ale nie musi przybrać tej postaci. I gdy jej nie przybierze, jest tylko służbą bez rewanżu, bez wzajemności, wyznacza nieobecność, lecz nie osamotnienie. A zgoda na czyją nieobecność wymaga nauczania się heroizmu.

Aż tyle wyjaśnień trzeba przeciwstawić zawstydzeniu, tej trudnej postaci poczucia zagrożenia.

Nie zawsze te wyjaśnienia uspokajają. Najczęściej w ogóle nie wnoszą spokoju. Potrzeba obecności osoby kochanej jest tak silna, a motywowane próżnością cofnięcie się w siebie, to obrażenie się o postaci zawstydzenia, tak głębokie, że wprowadzają w etap bólu, w nową postać procesu rozpacz.

3) Leczenie bólu

Łatwiej leczyć z bólu niż z zawstydzenia. Przełamaniem zawstydzenia jest zwierzenie. Gdy ktoś zaczyna się zwierzać, opowiadać o sobie, właśnie wtedy przełamuje zawstydzenie. Powinniśmy więc zawsze mieć czas na słuchanie czyichś bolesnych zwierzeń. Słuchać i w ten sposób utrwać otwarcie okien duszy. Nie należy odchodzić, przerywać, należy swą łagodnością i zainteresowaniem podtrzymywać nieśmiało wychodzenie przeżyć z ich zamknięcia. Tak łatwo bowiem mogą się one cofnąć. I wtedy nasza służba ludziom będzie musiała polegać na wyrwaniu ich z bólu.

Bólem są wszystkie przegrane, wszystkie niepowodzenia, utrata miłości. Ból dokucza w poziomie ciała i psychiki. W poziomie psychicznym jest już świadomością bólu. Już wiemy, co się stało. Wyrażamy to w pojęciach, zdaniach, raczej bezładnie, gdyż na poziomie psychiki nie stosujemy rozumowań. One są dziełem duszy. Trzeba więc przenieść ból na poziom duszy. Tu staje się on cierpieniem, które jest rozumieniem uświadomionego sobie bólu.

Przeniesienie bólu na poziom duszy, rozumienie go, leczenie rozmowami, szukaniem źródeł i konsekwencji, to już wyrwanie się z procesu rozpacz. Cierpienie jest uratowaniem człowieka. Nie niszczy duszy, gdyż jest ona niezniszczalna, raczej ją leczy, gdyż oczyszcza, umacnia, czyni czymś odpornym, przewidującym, wyrozumiałym, wybaczącym. Aby jednak cierpienie tak funkcjonowało, połączona ze smutkiem cierpliwość musi wywołać żal i pokutę. Gdy jed-

nak nie zaatakował nas smutek, gdy jesteśmy dopiero na etapie bólu, trzeba świadomości, zwierzejacj swoje niepowodzenie, dostarczać zasad ładu, trzeba jej zwierzienia układać w grupę źródeł, wydarzeń, konsekwencji. Podjęcie przez kogoś, kto przeżywa ból, rozumowań, to przenoszenie bólu z psychiki na poziom duszy. Gdy przy pomocy rozumowań znajdują się one w duszy, będzie można uruchomić decyzje, co jednak nie przychodzi łatwo. Wymaga bowiem właśnie żalu i pokuty, które potrzebują smutku.

Ból więc utrwalony w psychice, to smutek. Może nam się nie udać wyrwanie kogoś ze smutku. Wtedy etapem rozpaczj staje się izolacja. Gdy jednak uda się nam związać smutek z cierpliwością, ból przeniesiony z psychiki w duszę dzięki rozumieniom, teraz jako cierpienie powiąże się z żalem i pokutą. Wtedy nie tylko zostaje przerwana rozpacz, wtedy zaczyna się także leczenie duszy z ran, zadanych utratą osoby kochanej.

4) Przełamywanie smutku

Smutek, jako ból w obszarze psychiki, jest zawieszeniem działań, nawet wygaśnięciem potrzeby zwierzeń. Jest wobec tego oczekiwaniem, jeszcze oczekiwaniem. Trzeba to oczekiwanie przedłużać, trzeba sugerować, że wróci osoba kochana, gdyż przecież może się zdarzyć, że wróci. Trzeba wywołać cierpliwość, wprost wiązać smutek z cierpliwością.

Smutek powiązany z cierpliwością to już tęsknota. A tęsknota jest normalnym życiem duszy. Ona właśnie budzi żal, że stosowaliśmy błędne działania i wywołuje pokutę, która jest przemianą myślenia i wprowadzeniem nowych działań, lepszych, zgodnych z prawdą i dobrem, chroniących miłość i zbliżających do ukochanych osób.

Wiązanie jednak smutku z cierpliwością, która jest zgodą na cierpienie, wprowadzające w tęsknotę, w stan aprobowania nieobecności kogoś kochanego, w stan tylko nadziei, odwrotności rozpaczj, nie jest łatwe. Trzeba bowiem jeszcze mocniej ożywić uczucia. Fascynowaliśmy je pięknem, aby wywołać wdzięczność. To przeżycie chroniło człowieka. Na etapie smutku trzeba także fascynować emocje pięknem. Nie wystarczą tu jednak obrazy, rzeźba, architektura, krajobrazy, góry, morza, lasy, kwiaty, muzyka, poezja. Nie wystarczy oddziaływanie na wzrok i słuch, docieranie do uczuć przez ciało. Potrzebne jest zafascynowanie pięknem wielkiej myśli, filozofii bytu, teologii, może tym, co św. Franciszek z Asyżu mówił o radości doskonałej, może aż treścią Ewangelii.

Gdy jednak nie uda się przeprowadzić kogoś ze smutku w tęsknotę, gdy intelekt nie zareaguje na fascynacje wspomagane emocjami, zaczyna się proces utraty celu życia.

2. Obrona przed utratą celu życia

Jeżeli jest zagrożony cel życia, to trzeba właśnie bronić tego celu. Jeżeli ktoś go utracił, to albo musi skierować się do nowego celu, albo zgodzić się na tę utratę i w niej uznać swój los: samotność miłości.

Zarówno nowy cel życia, jak i zgoda na samotność miłości, wymagają przebudowy życia duchowego człowieka. Całe ukierunkowanie duchowe na dotychczasowy cel trzeba przekształcić. Proces tego przekształcenia nazywa się metanoją: oczyszczenie z tego, co było oraz zwrócenie się do wybranie innej perspektywy. Musi się to odbywać w

pełnej prawdzie i w pełnym dobru, gdyż na tym etapie rozpaczy nie wystarczy cokolwiek. Trzeba umiłować nową sytuację, by mieć siłę intelektualnie ją podjąć i spełniać swymi decyzjami. Intelpekt oczyszczany prawdą nabywa pokory, która stanowi zrozumienie tego, co faktycznie jest i odsunięcie tego, co fałszywe, złudne, fikcyjne, nie odniesione do nas. Wola oczyszczana dobrem podejmuje decyzje, wprowadzające w humanizm: w służbę osobom przez miłość, wiarę i nadzieję, w służbę bez rewanżu, bez wzajemności, w służbę heroiczną.

Jest w nas wciąż miłość, teraz obolała, chora, cierpiąca, odrzucona. Jest. I ona stanowi podstawę, a zarazem szansę metanoi: oczyszczenia, a także zrozumień na poziomie pokory i decyzji na poziomie humanizmu.

Aby ta miłość zaczęła chronić człowieka od wewnątrz, trzeba otoczyć opieką przede wszystkim smutek i cierpliwość, aby pojawiła się tęsknota. Gdy emocje, fascynowane pięknem wielkiej myśli, przesuną się do wnętrza duszy i stanie się on cierpieniem, tęsknota razem z cierpieniem zacząć leczyć chorą miłość. Cierpienie będzie oczyszczało myślenie i decyzje, a tęsknota będzie je kierowała poza wnętrze człowieka do tego, co piękne, by stąd przejść do prawdy i dobra.

Wywołanie takiego procesu nie jest łatwe. Smutek bowiem jest bardzo oporny, trudno dostępny. W swej pełnej postaci jest potrzebą pustki i dlatego tak łatwo mu przekształcić się w izolację. Najpierw ludzi tym, że człowiek uzyskał wewnętrzną ciszę, a potem sytuuje nas w izolacji. Cisza jest pogłębieniem zawieszenia myślenia, decyzji, emocji. Ale jako to zawieszenie jest bliska oczekiwaniu i cierpliwości. Trzeba więc w dalszym ciągu podtrzymywać oczekiwanie i cierpliwość. Trzeba też aktywizować potrzebę rozmów, gdyż cisza wyklucza konsultację, pytania, dialog. Z osobami smutnymi, które wciąż od nas odchodzą w osobność, izolację, trzeba rozmawiać, trzeba ich szukać, odwiedzać, otaczać ludźmi, problemami, zadaniami, aby cisza nie stała się izolacją, a z kolei negacją wszystkiego. Gdy to się stanie, gdy będziemy odsuwani nieczułością, niewrażliwością, odejściem, trzeba po prostu się narzucać, trzeba znowu powodować wdzięczność, w dalszym ciągu fascynować, być, wymyślając cokolwiek, co uzasadni spotkanie. Tak przecież szuka się owcy, która zginęła, ukrytej perły. I zapala się światło, aby było widać to, co zginęło, to, co ukryte.

Doniosła jest rola odwiedzin, wizyt, spotkań, obecności. Przecież nieobecność ukochanej osoby jest źródłem tragedii, tej rozwijającej się rozpaczy. Każda więc obecność leczy, jest przynajmniej przewinięciem rany utraty, jest odrobiną lekarstwa, które może wywołać regenerację miłości.

Tylko miłość może przywrócić potrzebę pracy, chęć do uczenia się, rozwijania intelektu, porzucenia bezczynności. Może podtrzymać oczekiwanie, pomóc odnaleźć cel życia, wyrwać z fałszu, zła, bezmyślności, z procesu unicestwienia.

Ożywianie miłości na tym etapie zagrożenia rozpaczą musi polegać na przełamywaniu reakcji mechanicznych, na zachęcaniu do działań przez wiązanie ich z radością.

Działania mechaniczne to wykonywanie zadań z nawyku, bez wewnętrznego przejęcia, niedokładnie, bez radości. To zarazem uchylanie się od pracy, wybór braku działań. Znaczy to, że dzieje się wszystko nie tylko poza myśleniem i decyzjami, lecz także poza emocjami. Nie fascynuje już piękno rzeczy i myśli. I nie należy już teraz nimi od-

działać. Nie należy też leczyć pracą. Będzie ona wciąż mechaniczna, bez efektów wytwórczych i psychicznych.

Trzeba podjąć to, co dzieje się w wewnętrznej sytuacji zrozpaczonego. Ponieważ sytuacja ta polega na ucieczce od rzeczywistości w marzenie, w myślenie możliwościami, które uspakajając trochę pocieszają i polega na ucieczce decyzji w tę radującą pociechę, należy stosować myślenie możliwościami i podtrzymywać tę wątłą radość tak oddziałując, by budziła się tęsknota.

Ucieczka w myślenie możliwościami jest odejściem od prawdy. W związku z tym załamuje się wiara, którą stanowi relacja, wywołana oddziaływaniem na siebie osób tą właśnie własnością. Załamuje się wierzenie ludziom i wiara w Boga. Nie pomogą argumenty metafizyczne i teologiczne, wspierające się na identyfikowaniu rzeczywistości, od której odstąpiło myślenie. Mogą pomóc argumenty możliwościowe. Ratował się nimi, jak wiemy, nawet Pascal. Nie wymagają rozstrzygnięć, ani decyzji, wymagają tylko rozważania. Trzeba te możliwości rozważać i ukazywać. Może ożywią, może zregenerują myślenie. Przebywanie w tych możliwościach jest teraz ratunkiem. Tę samą pozycję rozstrzygnięcia ma w obszarze możliwości tak nieistnienie, jak i istnienie Boga. Są tylko możliwościami. Wszystko jedno, którą będziemy się kierowali. Możemy więc tak postępować, jak gdyby Bóg istniał. Takie rozważania trzeba stosować lub sugerować. Może ożywią radość, która w reagowania mechaniczne wniesie choć nieznaczny cel, choć cień celu, z którego jest dojście do światła, nadzieja nadziei.

Ucieczka w radującą pociechę, płynąca z marzeń, z kojarzenia możliwości, a więc kojarzenia raczej zdań i sądów niż rozumowań, to oddalenie od myślenia i decyzji, lecz zbliżenie do smutku i wniesienie w ten cień miłości czegoś pozytywnego: odrobiny ciepła. Trzeba tę radość powiększać, by zmniejszała wyziębienie, by rozgrzewała emocje, wstrzymywała proces spełniania się konsekwencji odwrotności prawdy, dobra, istnienia, myślenia, szczęścia, by podtrzymywała oczekiwanie, które przemienia smutek w tęsknotę. I trzeba czekać mnożąc możliwości i powiększając radość. Może oczekiwanie przemieni smutek w tęsknotę. Tęsknota wzmocni cierpienie, a cierpienie wyrwie z rozpacz.

Jeszcze tu, jeszcze na tym etapie procesu wewnętrznej zagłady może uratować człowieka jego cierpienie.

3. Ożywianie motywów samoobrony

Na tym etapie rozpacz, którym jest wygasanie motywów samoobrony, dominuje zapominanie, letarg woli, rozpraszenie się emocji. Poznajemy to po niewrażliwości na rozumowanie, po mechanicznym, bezwolnym działaniu, po nieuzasadnionych, bezmyślnych i niechcianych nastrojach, jako wyniku panoszenia się kaprysów. Jest to wycofywanie się ze wszystkiego, z dawnego i aktualnego życia: rezygnacja z miłości i z marzenia w obawie przed bólem.

Teraz trzeba już działać szybko i gwałtownie. Trzeba zadawać ból mówiąc wyraźnie o utraconej osobie, o załamaniu się miłości przez nikogo nie podtrzymywanej w trwaniu. Trzeba tym bólem wywołać gniew emocji, krzyk, kłótnię, zdenerwowanie. Trzeba teraz stosować to, czego nigdy nie powinno się robić: myślenie i decyzje wypełniać emocjami, ich gniewem, marzeniem o ukaraniu winnych naszego nieszczęścia i radością, że nie minie ich kara.

Jest to straszna kuracja, ryzykowna, wychowująca mścicieli, gdy się utrwali. Kierowana jednak, wstrzymana, gdy scali się osobowość, gdy intelekt znacznie obmyśliwać sposoby walki i wymierzania kary, nie zniszczy człowieka. Trzeba więc pilnować, aby te pomysły nie uruchomiły decyzji. Decyzjom trzeba powoli podsuwać postawę zdeglustowania brzydota zachowań osób, które od nas odeszły. Do tych decyzji trzeba docierać także przez emocje, przez szokowanie ich odwrotnością piękną, właśnie brzydota niezyczliwości, niewiary. Trzeba wywoływać potrzebę karania nie przez nas, lecz przez samoudręczanie się osób, które zawiniły. Z czasem tę negatywną postawę należy przekształcić w litość i miłosierdzie, w pozytywne, spokojne i łagodne, pełne wtedy tęsknoty i cierpienia kierowanie się uratowaną miłością.

Trzeba tak działać, aby scalała się osobowość, aby jednoczyły się emocje i wiązały z sobą myślenie oraz decyzje, aby nie zaczęła spełniać się odwrotność szczęścia i istnienia, aby nie realizowało się poczucie odrzucenia przez poddanie się nieszczęściu i unicestwieniu.

Trzeba zarazem otaczać zrozpaczonych wielką miłością, już nie ciepłem, lecz upałem serca. Trzeba wywoływać w ich woli przerażenie nieszczęściem utraty miłości, jeżeli zawodzi budzenie gniewu. I trzeba atakować myślenie nieprecyzyjną eschatologią: piekłem, niebem, by przez ten szok wprowadzać w piękno, w prawdziwość i w dobro odnoszenia się do nas Boga. Trzeba nawet budzić zazdrość o wszystko: o to, że inni będą żyli szczęśliwie, gdy my umrzemy, że będą zbawieni, że bez nas równie dobrze będzie trwało istnienie, życie i szczęście.

Już nie można oszczędzać zrozpaczonych, już nie można nie podać w dozwolonych dawkach tych wymienianych tu trucizn, jak gniew z perspektywą mściwego karania, jak fascynacja brzydota, zalecanie złej teologii kary i nagrody. Może mściwość napełniana brzydota wywoła niechęć do takiej postawy, do takiego planu działań i przerodzi się w litość i miłosierdzie. Może lęk przed bólem, którego nie szczędzi piekło, pchnie zrozpaczonych w przerażenie. Może wtedy uciekając ze wszystkiego, zgodnie z tym, co w nich się dzieje, rzucą się w popłochu i panice, na oślep, jak podróżni z tonącego statku, jak wypędzeni pożarem z płonącego domu, w odmęty i przestrzeń miłości Boga.

Tylko tak w końcu może człowiek wyrwać się z rozpacz, jeszcze w ostatniej chwili, jeszcze przed utratą życia.

Znakiem przezwyciężenia rozpacz w tej ostatniej jej fazie są łzy, jedynie łzy, wyrażające powrót, początek nadziei.

Dotyczy to wszystko długotrwałego procesu rozpacz.

Gdy proces ten jest nagły, nie wolno wznagać popłochu i przerażenia, które są postaciami lęku. Trzeba natychmiast i gwałtownie je wyciszać, opanowywać, wstrzymywać. Trzeba też wyciszać złość, przyczynowaną przez próżność, która przynagla decyzje. Trzeba wstrzymywać podejmowanie decyzji. Ratuje się ludzi wzmacniając w nich cierpliwość przez tworzenie atmosfery ciszy, ładu i poczucia bezpieczeństwa. A tworzy je obecność. Chroni ona przed przerażeniem lub pustką i przed sięgnięciem po narzędzie samobójczego zniszczenia życia.

Niech Bóg pomaga nam w uratowaniu także tych najbiedniejszych naszych braci.

4. Dopowiedzenie

Dodajmy też, że wprost zdumiewa w ratowaniu człowieka przed konsekwencjami rozpaczliwego stosowania błędu: krytykowaną często przez mnie pedagogika postulatów, wywoływanie gniewu, mobilizowanie możliwością wymierzenia kary, kontaktowanie z brzydotą, spodowanie przerażenia, posłużenie się złą teologią nagrody i kary, głównie kary piekła. Nie wolno stosować tych celów i rozwiązań w normalnych procesach rozwoju. Gdy jednak rozpacz wchodzi w swe ostatnie fazy, te środki mogą stać się skuteczne. Czy dlatego, że błąd, niedokładność, jako sposób wyrywania z rozpaczliwej, bardziej przystają do błędnych postaw kogoś zrozpaczonego? Czy dlatego, że są czytelniejsze, szybciej przyswajane przez zniekształconą psychikę?

Dlaczego ponadto rozwinęła się w kulturze pedagogika postulatów i modeli życia, pedagogika stosowania kar, wprost przemocy, psychicznej presji, teologia nagrody i kary? Dlaczego tak powszechnie są stosowane? Czy tworzyli je ludzie zrozpaczeni i bardziej ratowali siebie niż innych? Czy może częstsza jest rozpacz niż miłość? Czy rozpacz atakuje także pokolenia, społeczeństwa, narody, a nie tylko niekochanych? Czy jest aż tak wielu niekochanych, tych, którzy utracili miłość? Czy może częstsza jest ciemna noc miłości niż miłość i szczęście? A może po prostu w życiu religijnym ludzi częstsze jest bierne oczyszczenie duszy, tak podobne w swym przebiegu do rozpaczliwej? I może dlatego pedagogika i teologia ascetyczna chciały przerażać, aby ratować człowieka.

Utrata miłości do człowieka nie powinna wywoływać rozpaczliwej, lecz cierpienie. Gdy wywołuje rozpacz, znaczy to, że przypisaliliśmy człowiekowi pozycję absolutu, wprost Boga. Rozpacz wynika więc z błędu uznania człowieka za jedyny, ostateczny cel życia.

Utrata miłości do Boga, do jedynie ostatecznego celu życia, zawsze wywołuje rozpacz. Życie jest wtedy zamknięte w sobie, izolowane, jest bólem, procesem rozpaczliwej. Jest działaniem z pozycji rozpaczliwej, jest powolną śmiercią nadziei, nawet wtedy, gdy wydaje się nam, że osiągnęliśmy wewnętrzną ciszę, niezależność, wolność, wszystkie cele, dostępne nam bez niczyjej pomocy, konkretny wymiar ludzkich nadziei. Zdradza naszą rozpaczliwą wyrzekanie się czyjejś pomocy, uzależnień, powiązań, gdyż jest to wyrzekanie się utraconej miłości.

Miłość to szczęśliwe powiązania ludzi. Miłością jest także życie religijne jako osobowa i uszczęśliwiająca więź człowieka z Bogiem. Utrata miłości w obu wypadkach wywołuje rozpaczliwą.

Przewyciężenie rozpaczliwej wprowadza w nadzieję, która jest oczekiwaniem, aby kochano nas i nam wierzone oraz byśmy my mogli kochać i wierzyć. Nadzieja jest więc bliska cierpieniu i tęsknocie: jest zrozumieniem uświadomionego sobie bólu i potrzebą obecności. Jest naszym oparciem między rozpaczliwą i miłością, stanem niekochanych lub tych, którzy nie chcą kochać, szansą osób, gnębionych nieobecnością i niewiarą, zapewne więc i ateizmem. Jest ubogim szczęściem niekochanych i niewierzących.

Nadzieję w warstwie emocji wyraża wdzięczność. W warstwie decyzji wyraża ją spokojna pogoda wewnętrzna, radość przeniknięta cierpieniem i tęsknotą. W warstwie myślenia jej znakiem jest skutek marzenia: tworzenie utopii, projektów rajów na ziemi, szczęśliwej Arkadii.

Wywołuje nadzieję piękno, spacer, wycieczka, zwiedzanie wystaw,

ogrodów, krajów, rozmowa, marzenie jako myślenie możliwościami, rozpoznanie swych zalet, i zgoda na siebie, szacunek dla czyjejs własności, przewycięzanie próżności, niekiedy gniew, przerażenie, brzydota, wreszcie łagodna zgoda na los osób niekochanych.

Nadzieja jest więc swoistą równowagą wewnętrzną, tym, co najlepsze między właśnie rozpaczą i miłością. Jest przewycięzeniem uznawania celów bliższych za ostateczne, uczeniem się rzeczywistości, wiązania decyzji i emocji z prawdą i dobrem poprzez piękno.

Najkrócej mówiąc, piękno wprowadza nas w nadzieję, nigdy w rozpacz i nigdy w miłość. Wyrывa nas z rozpaczy, lecz nie ma siły wnieśnienia nas w miłość. Zatrzymuje przy sobie w pogodnej kontemplacji nie dopuszczając do spełnień: do nieszczęścia śmierci z rozpaczy i do szczęścia trwania w miłości. Budząc jednak oczekiwanie, które jest nadzieją, kieruje do prawdy i dobra, wiary i miłości, gdy nadzieje ożywi cierpienie i tęsknota.

MIECZYŚLAW LUBAŃSKI

ZAGADNIENIE ISTNIENIA W MATEMATYCE, I

Jednym z centralnych problemów w filozofii matematyki jest zagadnienie istnienia, a więc pytanie o sposób, czy sposoby, istnienia obiektów matematycznych. Problem ten jest zarazem jednym z najstarszych problemów filozoficznych i do dziś problemem otwartym. Przyczynę tego stanu rzeczy można upatrywać zarówno w specyficznej naturze matematyki, jak też w niemożności pojęciowego ujęcia istnienia¹. Matematyka może być uznana za wyjątkową dziedzinę wiedzy, z tego choćby powodu, że bywają jej przypisywane cechy wykluczające się. Jedno ze skrajnych stanowisk uważa ją za jedyną niepowątpiewalną naukę, w której mamy do czynienia z twierdzeniami w pełnym tego słowa znaczeniu, drugie zaś traktuje ją tylko za język nauki, zwłaszcza fizyki. Prawda o matematyce nie jest łatwa do odkrycia. Ujawnia się ona najbardziej przy analizowaniu badań matematycznych, ewentualnie ich wyników, a więc twierdzeń matematycznych, ich dowodów, jak też celu uprawiania matematyki. Dużo światła może tu rzucić również rozważanie genezy pojęć matematycznych. Sam termin istnienie nie należy również do terminów prostych i łatwych. W przypadku spraw dnia codziennego nie budzi on najmniejszych wątpliwości. Jeśli jednak chcemy przyjrzeć mu się bliżej, staje się prawie że nieuchwytny. Nic więc dziwnego, że problem istnienia w matematyce, choć dawno już postawiony, pozostaje i dziś aktualny².

¹ Por. M. A. Krapiec, *Metafizyka, Zarys podstawowych zagadnień*, Poznań 1966, 417.

² Problem sposobu istnienia obiektów matematycznych jest zaliczany do centralnych zagadnień filozofii matematyki; uchodzi on za problem niezwykle złożony i trudny. Zob. np. J. Such, *Wstęp do metodologii ogólnej nauk*, Poznań 1973, 106; *Mała Encyklopedia Logiki*, Wrocław 1970, 205, 208; A. Mostowski, *The present state of investigations on the foundations of mathematics*, Rozprawy Matematyczne 9, Warszawa 1955.